Nr. 25. Poznań, Niedziela 17-go Czerwca 1900 r. Rok IV.



*Przedpłata w Poznaniu i na wszystkich pocztach w Niemczech wynosi kwartalnie **1 markę**; na poczcie w Austro-Węgrzech **59 cent.***
Pod opaską:** w Niemczech **1,65 mr.**, w Austro-Węgrzech **1 złr.**, za Oceanem **1 dolar.
Redakcya i Administracya „Pracy“ znajduje się w Poznaniu przy ulicy Rycerskiej Nr. 38. Telefon Nr. 295.

Manuskryptów nie zwraca się.

Rząd zawsze czyni dobrze.

Jeden z Czytelników i gorących zwolenników naszego pisma był łaskaw niedawno skreślić do nas słów parę, aby zakomunikować nam, jakie wyniki przyniosła jego żywa agitacya za „Pracą“. Przy tej sposobności wspomniał o fakcie, który go osobiście bardzo boleśnie dotknął, a nam nastręczył szereg uwag, któremi radzibyśmy się podzielić z Czytelkami. Fakt, o którym wspomniał nasz korespondent przedstawia się mniej więcej w następujący sposób: aby jednego ze znajomych, pewnego rzemieślnika w małem miasteczku, zachęcić do abonowania „Pracy“, przyjaciel nasz używał całej swej wymowy, niestety — napróżno, znajomy jego bowiem był stałym zwolennikiem „*Ancajgierów*“ i o polskiem piśmie wogóle nie chciał słuchać.

Aby więc użyć najsilniejszego argumentu przekonywającego, przyjaciel nasz zwraca uwagę na to, że jeśli nie co innego, to przynajmniej wydalenie przymusowe dra Rakowskiego bez sądu i wyroku powinno być wystarczającym dowodem, jak bardzo należy popierać pisma polskie, z któremi rząd w tak bezwzględny sposób się obchodzi. Nie wszystkich bowiem redaktorów taki los czeka, jak redaktorów polskich. Jest np. w Berlinie żydek galicyjski, niejaki p. Schweinburg, który wydaje pismo i nieraz ostro przeciw różnym rządowym osobom występuje, ale dla niego policya ma względy, jego nie wydali z obrębu państwa pruskiego, bo p. Schweinburg umie się nizko kłaniać ministrowi finansów. Dlatego też dla niego policya ma wszelkie względy. Za to nasi polscy redaktorowie, którzy — broniąc dobrej i świętej sprawy polskiej wobec naporu germanizacyi — nie mogą się kłaniać żadnym wpływowym osobistościom rządowym, wystawieni są na zupełną bezwzględność policyjnych organów. Konfiskata za lada uchybienie formom prawnym, wydalenie przymusowe bez sądu i podania motywów, ... ba — nawet gotowość podnoszenia choćby zarzutu zdrady stanu za byle nieostrożne słówko — to wszystko jest na porządku dziennym u szanownego pruskiego rządu, który nie cofa się przed żadną zaporą, aby pisma polskie zwalczyć, skoro widzi w nich głównego nieprzyjaciela germanizacyi.

W ten i tym podobny sposób przyjaciel nasz przemawiał do swego znajomego, a ten, usłyszawszy ów najsilniejszy argument — wydalenie naczelnego redaktora — wyrzekł klasyczne słowa, z których głęboką czerpać powinniśmy naukę i wskazówkę do pracy społecznej. Wyrzekł on mianowicie: *Musiał to być widocznie zły człowiek, skoro go rząd z granic państwa wydalił.*

Na tem rozmowa się urwała. Nasz przyjaciel poznał, że daremnem byłoby dalsze przekonywanie jego znajomego, gdyż on jest zupełnie ciałem i duszą zaprzedany rządowi pruskiemu.

Jeśli słowa wyrzeczone przez tego pana powtarzamy tu, na naczelnem miejscu i czynimy je przedmiotem osobnego artykułu, to nie dlatego, abyśmy chcieli kopie kruszyć w sprawie byłego naszego redaktora i dyskutować nad tem, czy rząd postąpił sprawiedliwie, wydalając go i odrywając od pracy: dla nas bowiem i dla wszystkich Czytelników „Pracy“ kwestya ta przedmiotem dyskusyi być nie może. Wszyscy wiemy oddawna, jak mamy się zapatrywać nietylko na ten pojedyńczy czyn rządu pruskiego, ale i na cały rząd pruski wogóle. Niepotrzeba też chyba brać wydalonego w obronę przed zarzutem, „że był złym człowiekiem, ponieważ go rząd wydalił.“ Ale jeśli do słów tych, do tego zarzutu głębszą przywięzujemy wagę, to tylko dlatego, że upatrujemy w nich najwymowniejszy, najostrzejszy dowód, jak bardzo jeszcze trzeba pracować nad ludem naszym, aby mu z gruntu wykorzenić przekonanie, że *to co rząd zrobi jest słuszne, i dobre, i sprawiedliwe.*

Na tym przykładzie widzimy, ile to jeszcze oświaty potrzeba ludowi naszemu, ile pola leżącego odłogiem lub zarosłego chwastem uwielbiania rządu należy zasiać jędrnem ziarnem myśli obywatelskiej i patryotycznej. Gdyby nie to, że wiarogodność naszego korespondenta nie ulega żadnej wątpliwości, nie wierzylibyśmy, i żaden z naszych Czytelników by nie wierzył temu, że może się wogóle znaleźć człowiek o tak nizkim poziomie rozumowania, — obywatel o takim braku samodzielnego zdania, — Polak o tak zagłuszonem obojętnością sercu. Człowiek, który w ten sposób rozumuje, że co

rząd rozporządzi, co minister rozkaże, — jest bezwarunkowo słuszne, człowiek taki rezygnuje sam dobrowolnie z najpierwszego przywileju swego człowieczeństwa — z prawa do własnego zdania, własnej myśli i sądu.

Cechą każdego obywatela kraju, a obowiązkiem obywatela w państwie konstytucyjnem jest właśnie prawo ostrej krytyki rządu, ostrej krytyki rozporządzeń, które ten rząd wydaje, a które król potwierdza. A cóż dopiero rzec mamy my, Polacy, o obowiązkach naszych, już nietylko jako obywateli pruskich, którymi jesteśmy z musu, ale o obowiązkach naszych jako Polaków, jako członków narodowości, na której popełniono najwięcej zbrodni i gwałtów, którą ciemiężono w wyrafinowany sposób, nad którą od stu lat nie błysnął promień istotnej sprawiedliwości! Czyż to nam, Polakom, wolno tak bezkrytycznie zapatrywać się na wszystkie czyny rządów? Czyż my nie mamy obowiązku nazwać prześladowaniem tego, co jest prześladowaniem? Czy my mamy uznać wszystkie rozbiory Polski, wszystkie oszustwa, jakich się dopuszczali na nas europejscy dyplomaci, obiecując wiele, a nie dotrzymując nic, — za dobre i słuszne?

Więc i rozbiór Polski byłby rzeczą godziwą i słuszną, bo go dokonał nietylko rząd pruski, ale trzy rządy; — więc byłoby rzeczą sprawiedliwą, że królowie pruscy niedotrzymali względem nas obietnic, uroczyście danych manifestem okupacyjnym z 1815 roku; — więc byłoby rzeczą sprawiedliwą, że wygnano język polski ze szkół, sądu i urzędów; więc słuszność miał rząd pruski, że w roku 1848 niedotrzymał przyrzeczenia narodowo-polskiej organizacyi Księstwa; więc racyą miał Bismark, że wygnał z ojczystych siedzib 40 tysięcy Polaków i ustanowił komisyą kolonizacyjną.

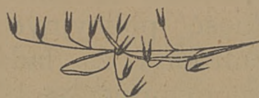
Oto do jakich potwornych wyników dojść by musiał każdy, ktoby chciał uznać, że rząd, skoro jest rządem, już tem samem postępuje sprawiedliwie i zacnie.

Lecz niejeden zapewne powie: po co tak daleko idące wnioski wysnuwać z faktu, który bezwątpienia jest odosobniony? Że fakt takiej ślepoty politycznej jest, na szczęście, odosobniony, chętnie wierzymy; — ma on jednak poważny podkład polityczno-społeczny. Powiedzenie owego pana, że „skoro rząd pruski postanowił, widocznie miał racyą“ powinno być dla nas wszystkich myślących ludzi groźną przestrogą, że ów duch subordynacyi pruskiej, którego źródłami jest wojsko, szkoła, urzędowanie, a którego celem jest zabicie wszelakich przejawów wolnej myśli obywatelskiej i swobodnego zdania, którego ideałem byłby taki stan rzeczy, w którymby każdy tak myślał, tak postępował, taką czytał gazetę, jak policya każe, — ten duch subordynacyi, powtarzamy, zaczyna nurtować i w naszem społeczeństwie.

Jest to niebezpieczeństwo, przeciw któremu walczyć powinniśmy wszelkimi siłami. Każdy obywatel kraju i Ojczyzny powinien przywodzić do samowiedzy i do wytrzeźwienia takie zahukane moralnie umysły swych współobywateli, powinien ich uczyć krytycznie patrzeć na postępowanie rządu i wskazywać jego wszystkie błędy.

Dla nas zgody z pruskim rządem niema i być nie może, bo rząd pruski nie może być dla nas takim, jakim w naszem przekonaniu być powinien.

Vester.



Oświata ludu w Galicyi.*)

„Dobre szkoły,
Bite drogi,
Czy to narodu wrogi?“

Galicya to kraj, ze wszystkich części dawnej Sarmatów dziedziny, największą cieszący się wolnością, i to dzięki błogim rządom wspaniałomyślnego i sprawiedliwego cesarza Franciszka Józefa.

Galicya ma swą autonomią już dawno — rządzi nią namiestnik krew z krwi, kość z kości naszej. — Cała administracya królestwa Galicyi jest polską — w szkołach język polski pielęgnowany — rozwijać się może, nikt mu zapory nie stawia, a pomimo tego wszystkiego jak mało starają się o to ci, którzy do tego są powołani, i od których kraj ma prawo żądać, by się starali dać ludowi jak najwięcej sposobności do nabycia oświaty. Ostatnia statystyka wykazała, że w Galicyi znajduje się jeszcze przeszło 40 procent analfabetów — a więc prawie połowa ludności tamże nie umie pisać, ani czytać.

Nędzne to zaiste muszą być tam stosunki, jeżeli przez lat dziesiątki nie dano ludowi nawet tego, co dają narody, niesłusznie zwane półucywilizowane — w Afryce. Nadmieniam tylko o stosunkach szkólnych obu republik burskich Oranii i Transwaalu, o których swego czasu „Dziennik“ pisał, w których to państewkach nauka — dzięki świetnej administracyi szkolnej kwitnie i rozwija się od lat dziesięciu — a za pomocą której ta garstka chłopów holenderskich przez długi czas wstrzymywała zapędy zaborcze dumnego Albionu. Nieszczędzą nam też nasi najmilsi epitetów, jak: „Es ist doch wirklich die reine polnische Wirthschaft.“

Smutne, ale prawdziwe. Kiedy swego czasu w sejmie galicyjskim jeden z szlachetnych mężów wniósł, aby podwyższono pensye nauczycieli, jeżeli się nie mylę, tylko, o sto reńskich, aby przez to pociągnąć młodych ludzi, by się więcej poświęcali stanowi nauczycielskiemu, słuchajcie! na ten cel szlachetny, na który inne państwo miliony wydało, nie było pieniędzy. — To zaiste filantropia z pod ciemnej gwiazdy, ale też i signum temporis w zapatrywaniu pewnej kasty ludzi jakby z minionej przeszłości, kiedy to lud był ciemny jak tabaka w rogu. Pewien wiarogodny i szlachetny mąż, który w wolnym od pracy czasie podążył do Krakowa i Lwowa, by zwiedzić tak drogie każdemu Polakowi pamiątki dawnej naszej tak świetnej przeszłości, udał się pieszo w głąb kraju, zwiedził wioski i miasteczka, zajrzał do chłopa i mieszczanina, zajrzał też do plebanii i do szkoły, opowiadał mi później swe spostrzeżenia i to z bólem w sercu, mówiąc: O jakie tam smutne stosunki. — Pomiędzy ludem nie dojrzysz śladu oświaty, książki, ni gazety. Chłop opuszczony przez starszą brać, w gościńcu u żyda szuka szczęścia i zadowolenia. — Tu i tam znajdziesz po wsiach tak zwane karczmy, które chłopi sami sobie założyli. Te jednakże wystawione są na szykany ze strony tego, który z dzierżawy karczmy ciągnie zyski. W każdej wiosce karczma, szkoły nie ujrzysz wszędzie, a gdzie jest, to w tak opłakanym stanie, tak licha, że wzbraniam się ją opisać. Nauczyciel, — to włódarz u nas panem. Dochód jego, to kilka set złotych, ale polskich, nie wystarcza nawet na pokrycie najskromniejszych wymagań, — a więc, by się najeść do syta. — Dlatego też bieda u nich, a u wielu brak odpowiedniego wykształcenia i uzdolnienia, by ze skutkiem pracować i serca dziatwy uszlachetniać. „Bo jaka płaca, taka też wreszcie praca.“ Już sławny Windhorst powiedział: „Kto ma szkołę, ten ma przyszłość w swem ręku.“ Sromotą dla tych, którzy ją ma-

*) Artykuł powyższy pochodzący, z pod pióra jednego z naszych wybitnych obywateli, zamieszczamy chętnie, choć nie we wszystkich punktach zgadzamy się na zbyt pesymistyczne zapatrywania autora. — Przyp. Red. „Pracy.“

ją, a pomimo to, tak smutną gotują sobie i dzieciom przyszłość, bicz kręcą oni na siebie sromotny i krwawy. Socyalizm już się tam na dobre wzmaga, rosną burdy publiczne, nie ma uszanowania ani dla władzy, ani dla kościoła i ich sług.

Nadmieniam tylko ostatnie zajścia w Przemyślu, wybryki motłochu bez bojaźni bożej i poszanowania. Ile to innych skarg czyta się jeszcze w gazetach na tych ludzi obłędu nowożytnego. Ile to złego, ile nieszczęść sprowadzili oni na ten biedny kraj. Motłoch bez oświaty ich słucha, motłoch, którego nie nauczono w szkole — bo szkół nie było, kochać Boga i szanować bliźniego. Rumienić muszą się teraz ci, którzy się tym ludem nie zajmowali.

Budujcie zatem szkoły, uposażcie waszych nauczycieli odpowiednio a powoli i dobrobyt tam zakwitnie, lud nie będzie wychodził na wędrówkę do Prus i za morze, gdzie głupotę jego inni wyzyskać potrafią.

Nauczcie lud w szkole rodzinne strony kochać, szanować kościół i władzę, a przyspożycie mu nieba już tutaj na ziemi, łaska Boża będzie z nim i z wami. Dziś chłop polski i ruski jeszcze ten sam, co przed stu laty, a w powieści drukowanej w „Dzienniku Poznańskim“ „Ponad siły“ wyczytasz o nim, miły czytelniku: „Tysiąc lat, powtarzał w duchu, tysiąc lat przesunęło się jak jeden dzień, a chłop, wóz, kobieta i konie ci sami. Stanęła mi na myśl Ruś z przed tysiąc lat taka sama dziś i ztąd to zamyślenie.“ — „Otóż właśnie z hotelu „Imperial“ wyszedłszy -- podziwiałem Lwów z zachwyceniem. Przez myśl przesunął mi się Paryż z frontami ministeryów, Wiedeń, kultura i cywilizacya. Rad byłem z tego objawu. Jesteśmy na dobrej drodze. Rozwijamy się. Teraz inny obraz, cchłonął, jakby go zimną wodą ktoś polał. Tuż przed wzrokiem jego powoli przesuwał się wóz, zaprzężony parą drobnych szkapiąt. Na wozie klęczał rosły, chudy, kościsty chłop w czarnej koszuli, z narzuconym na plecy kożuchem. Za nim kobieta okryta szarawem płótnem. Chłop zdjął baranią czapkę, długie spłowiałe włosy powiewały mu nad karkiem. Patrzał wystraszonym wzrokiem przed siebie. W rękach trzymał bat i nim wywijał. Na wozie i w zaprzęgu nie było ani kawałka żelaza, ani skrawka, skóry, parć i drzewo. I koła gięte z jednej strony brzeziny....

„Przed tysiącem lat pierwotny mieszkaniec tych stron tak samo wyglądał. Tysiąc lat przepłynęło nad głowami tubylców *bez żadnego* śladu kultury!... A my? zapytał siebie samego. Czy kultura nasza nie kończy się za bramami miasta! Cóżeśmy zrobili dla cywilizacyi tego ludu, który nam oddaje swoją pracę i wyciąga do nas ręce?...“

To dopiero gospodarka. — Inaczej rzecz przedstawia się u nas w Księztwie. Choć tu szkoła pruska nas germanizuje i Polakowi dziś nie daje tego, czemuby w Galicyi przeszkodzić nie można było, to u nas inaczej się ludem zajmują, o czem naocznie przekonać się można, rzuciwszy wzrokiem na Towarzystwa rólnicze, Spółki, Kółka parafialne i t. d. To też dobrobyt kwitnie u naszych kmiotków, którzy dziś nawet ziemię skupują, tę naszą karmicielkę, którą starsza brać pozbywa, sprzedając ją na kolonizacyą, a przez to zaprzepaszcza tysiące ludu polskiego, zmuszając go do wychodźtwa itd.

Lud polski w Galicyi rodząc się i umierając w głupocie, dzięki naturalnie dzielnej administracyi szkolnej i „braku pieniędzy“ na ten cel szlachetny, daje chętnie posłuch tym, którzy mu świetną malują przyszłość w państwie socyalistycznem. I w ten to sposób, choć wolno, ale systematycznie, zakorzeniają ci apostołowie przewrotu w ten lud ciemny — bo mu kazano takim — być, nienawiść do państwa i kościoła.

Czas największy złemu zaradzić! A zatem dajcie ludowi więcej oświaty, budujcie szkoły, uposażcie lepiej stan nauczycielski, by wam chętnie pracował i szczerze, wtenczas rozwiązana będzie kwestya socyalna dla Galicyi, zakwitnie tam bowiem dobrobyt — ułożą się stosunki pomiędzy stanami.

Kto oświatę daje ludowi, ten przysparza mu królestwa Bożego już tu na ziemi, a kto go w ciemnocie i głupocie wychowuje, ten zaprzepaszcza go piekłu i jego pomocnikom, popychając go mimowoli w ramiona tych, których zadaniem:

Zburzenie ołtarzy i tronów.

M. K.



Biblioteki Towarzystw naszych a index.

Zdarza się, że biblioteki Towarzystw naszych, mianowicie przemysłowych i im pokrewnych, posiadają, obok wielkiej naturalnie liczby odpowiednich książek, także dzieła przez kościół zakazane czyli zapisane na indeksie. Zobaczmy jak się na rzecz tę zapatrywać należy ze stanowiska katolickiego i społecznego. Zbawiciel przekazał Piotrowi św. władzę i opiekę nad wiernymi słowami: „Paś owieczki moje.“ To znaczy na nasze słowa: „Ty Piotrze, opoko Kościoła i rządzco, tak ich winieneś strzedz, taką strawę podawać owieczkom swoim, aby się dostały do nieba.“ Kościół katolicki, mając więc na sobie trudny obowiązek, ma też i prawo, przepisywać wiernym swoim odpowiednie środki ku zbawieniu a oddalać od nich to, coby szkodę ich życiu duchowemu przynieść mogło. — Uznając, że dobra książka bardzo wiele może dobrego zdziałać, starał się też Kościół zawsze o jej rozpowszechnienie, zakładając drukarnie, jak np. sławną na cały świat ze swych różnojęzycznych czcionków oficynę Propagandy w Rzymie. Lecz i nieprzyjacielem, zatruwającym powoli usposobienie katolickie, stać się może książka niejedna! Na ten przypadek Kościół, otaczając nas swą pieczą jak matka, która nie ścierpi, aby dziecko igrało z nożem mogącym je przyprawić o kalectwo lub nawet śmierć, ustanowił „Index librorum prohibitorum“ czyli spis książek zakazanych. Stało się to w r. 1588 za Papieża Pawła IV. Pracowali dalej nad tem Papieże: Pius IV. i Klemens VIII, a osobną kongregacyą (trybunał) indeksu powołał do życia Papież św. Pius V. Spis reguł, jakie książki Kościół z góry uważa za zakazane, oraz spis szczegółowy wedle autora i tytułu, wyszedł drukiem za Grzegorza XVI i za naszych czasów przed paru laty.

I tak znachodzi się częściej po Towarzystwach polsko-katolickich dzieła następne, wyraźnie zakazane: Zoli: George Sand, Renana, Dumasa (ojca): Hr. Montechristo, Czarna ręka, Dwie Dyany, Trzech muszkieterów, Trzydzieści lat później, Józef Balsamo, Naszyjnik królowej, La San Felice, Wiktora Hugo: Dzwonnik z Nôtre-Dame, Nędznicy, oraz inne tym podobne.

Mamy więc jasne określenie Kościoła, zakazującego czytać niektóre z nich pod grozą klątwy, niektóre zaś pod grzechem. Kto zatem ze świadomością dzieła takie przechowuje, czyta, innym pożycza, stwierdza tem samem, że nie dba o posłuszeństwo względem Kościoła, do którego się zalicza. Podobny zarzut spotyka koniecznie i Towarzystwo, dające miejsce książkom takim w swej bibliotece. Uniewinniają się niektórzy członkowie, że przecież członek pojedyńczy z nich korzystać nie potrzebuje. Proszę jednak zważyć, że ma on każdej chwili prawo czytania ich, a więc okazyą zawsze się nadarzającą; dodajmy dalej, że produkty te, obliczone bardzo często na uśpienie ducha katolickiego lub ubóstwienie jakiejś namiętności ludzkiej jak np. zemsty w Dumasa: Hr. Montechristo, są owocem zakazanym, a więc nęcącym ku sobie, przejrzyjmy w katalogu biblioteki numera dzieł najbardziej czytywanych, a przekonamy się naocznie, że korzystanie z tych właśnie książek jest częstem! Odpowiadają także, iż książki te są koniecznemi do kształcenia. Zaznaczamy wyraźnie, że dzieł fachowych, jako takich, choćby i od

muzułmanina pochodziły, Kościół nie zakazuje, książki najczęściej czytywane fachowemi nie są, bo pochodzą albo z dziedziny hstoryi, albo powieści, albo też rymotwórstwa. Mogą one więc być fachowemi chyba dla kół ściśle literackich, my zaś mamy na myśli Towarzystwa przemysłowe i im pokrewne.

Jeśli są rzeczywiście fachowymi i stoją na indeksie, a są nam konieczne, wtedy można się przez władzę duchowną wystarać o pozwolenie czytania ich.

Mówią także: „Mnie czytanie tych książek nic nie szkodzi.“ Nikt nie jest sędzią w swej sprawie, a kościół zakazując, wie chyba dlaczego to czyni, nie z kaprysu, jeźli tak wolno się wyrazić, lecz z koniecznej potrzeby; choćby może więc przypadkowo członek nie ucierpiał na duchu, czytając takie dzieło, któż mu ręczy, że nie porwie się do książki jego przyjaciel lub dziecko nawet i ciekawość swą zaspokoji kosztem może swej przyszłości duchowej nieszczęśliwej, albo łez ojca i matki? — Takie więc książki zakazane winno towarzystwo wycofać z obiegu i zniszczyć, jeśli nazywa się katolickiem lub oparte jest na zasadach katolickich, bo inaczejby to nie licowało z jego nazwą wcale a wcale; katolik bowiem albo przyjmuje i wykonuje wszystkie przepisy kościoła i dlatego jest katolikiem, albo opuszczając choć jeden z nich jako nie istniejący dla siebie, a to nawet publicznie — jak w bibliotekach Towarzystw naszych — nie może się zaliczać do rzędu dzieci prawowiernych kościoła.

Towarzystwa nasze mają zresztą obowiązek poniekąd zaopatrywania się przedewszystkiem w dzieła autorów rodzimych (jeśli same nawołują słusznie „kupujcie swoje u swojego“), któremi pochlubić się możemy wobec literatur zagranicznych, a gdy przeczytamy je wszystkie (kiedy to zaś nastąpi?) wtedy niechaj tłomaczenia z obcego, jakie kupujemy, nie tchną zapachem bardzo podejrzanym i niechaj przynajmniej nie obrzucają błotem najświętszych naszych uczuć.

Ks. Konst. N.



Z pamiętnych chwil.

Bitwa pod Miłosławiem.

(Dnia 30go kwietnia 1848go roku.)

I.

Dnia 28go kwietnia 1848go roku wydał komenderujący generał von Colomb rozkaz atakowania obozów polskich. Najpierw miał Brandt zaatakować Książ i zniósłszy obóz książski, połączyć się z idącym od Środy generałem Blumenem w celu wspólnego zaatakowania Miłosławia.

Sztab pruski nie trzymał tych planów w tajemnicy, Blumen, odjeżdżając z Poznania do Środy w celu objęcia dowództwa, zwierzał się przyjaciołom, jak mu niemiłą jest misya uderzenia na Miłosław.

Jednym z pierwszych, którzy się dowiedzieli, że stanowcza chwila orężnej rozprawy z Prusakami nadeszła, był Jędrzej Moraczewski. Ale wyruszyć tego samego dnia w celu ostrzeżenia dowódzców obozów nie mógł; Poznań znajdował się w stanie oblężenia i nikogo po zamknięciu bram wypuścić nie chciano. Nazajutrz więc rano 29go kwietnia o świcie wyruszył Moraczewski w drogę. Gdy zbliżał się do Nowego Miasta, dym palącego się Książa był znakiem, że Floryan Dąbrowski był już w ogniu.

Po drodze spotykał Moraczewski lud, uzbrojony w co się dało i spieszący na pomoc walczącemu wojsku, uznał zatem, że należy przedewszystkiem spieszyć do Białoskórskiego, który stał ze swym obozem w Pleszewie a więc najbardziej był oddalony od terenu walki i łatwo mógł być odcięty zupełnie przez Prusaków. O szóstej wieczorem stanął Moraczewski w Pleszewie i powiadomił Białoskórskiego, że Prusacy niechybnie nazajutrz rzucą się na Miłosław. Nie było ani chwili czasu do stracenia.

Białoskórski też natychmiast kazał zatrąbić, ludziom chleb rozdać i do wymarszu ich szykować. Na obronę miasta zostawiwszy oddział strzelców z 30 ludzi złożony, wyruszył Białoskórski jeszcze przed zachodem słońca, dążąc do Miłosławia.

Miał sto czterdzieści koni ułanów, trzystu strzelców i sześćset kosynierów. Przechodząc przez Jarocin, zabrał należący do obozu Nowomiejskiego oddział kapitana Goślinowskiego, składający się ze 132 strzelców i kilku oficerów.

Pochód nocny odbywał się w największym porządku. Na każdym kroku, w każdym szczególe znać było, że dowódzca cieszył się miłością i zaufaniem swych żołnierzy. W obozie Białoskórskiego dużo było ochotników z Królestwa Polskiego, którzy pożądali bitwy, a układów jak ognia się obawiali. To też ożywczo podziałała na żołnierzy wieść że nareszcie idą się bić z Prusakami. Nadzieja spotkania wroga dodawała sił i energii. A był to wymarsz połączony z niemałem niebezpieczeństwem, bo można się było spodziewać, że Prusacy pilnować będą przeprawy przez Wartę. Dlatego też wolał Białoskórski minąwszy Jarocin, zejść nieco w kierunku Żerkowa, spodziewając się tem łatwiej wyminąć Prusaków. Tu go doszła wiadomość, że pod Dembnem stoi naprędce z pramów sklecony most, po którym przeprawiała się jazda Garczyńskiego, więc też skorzystał ze sposobności i z całym swym obozem na drugą stronę Warty się przeprawił, spiesznym marszem dążąc pod Miłosław.

Tymczasem w Miłosławiu dobrze już wiedziano, że Prusacy, skoro świt, uderzą. Nad wieczorem odebrał Mierosławski smutną wieść o losie obozu w Książu, lecz zataił ją przed wojskiem, aby nie odbierać żołnierzowi otuchy. Ściągnięto tylko czemprędzej do obozu kosynierów z Pałczyna i Kębłowa, wysłano rozkaz do obozu nowo-miejskiego i pleszewskiego, aby czemprędzej spieszyły na pomoc. Wtedy już właśnie wyruszał Białoskórski z Pleszewa dzięki szybkiej wiadomości udzielanej przez Moraczewskiego.

Do Garczyńskiego zaś, który po sromotnym odwrocie z pod Książa, wrócił do Nowego-Miasta, wysłał Mierosławski Aleksandra Guttrego. Niebyło czasu do namysłu, — zresztą zguba Książa brzemieniem winy przygniatać musiała kierowników obozu nowomiejskiego, — nie robiąc zatem żadnej opozycyi przeprawił się cały obóz nowomiejski nocą na prawy brzeg Warty poczęści pramami w Nowem-Mieście, poczęści po moście w Dembnie. Doszedłszy do Murzynowa, obóz się zatrzymał, gdyż Guttry kazał oczekiwać dalszego rozkazu, a sam ruszył do Miłosławia z raportem.

Od trzeciej godziny z rana Polacy już stali w gotowości do boju.

Było ich nieco ponad tysiąc ludzi, a mianowicie 140 kawalerzystów, wprawdzie na dobrych koniach, lecz przeważnie bez siodeł, 270 strzelców z najrozmaitszą bronią i około 600 kosynierów. Do tego doliczyć trzeba oddział 100 kosynierów Mittelstädta, który dnia poprzedniego wzięty do niewoli pod Książem, złamawszy obietnicę nie walczenia z Prusakami, stanął w Miłosławiu do boju, oraz garść niedobitków książkich, przeważnie konnicy. Artyleryą stanowiły cztery armatki, jedna czterofuntowa i trzy trzyfuntowe.

Niespodziewając się wcale, że Polakom zdołają nadejść posiłki z Pleszewa i z Nowego-Miasta, pewien był generał Blumen, że tę garstkę zdoła odrazu zgnieść swemi siłami, prowadził bowiem ogółem z pięć tysięcy wojska, z których 4 tysiące było w Środzie, a 1 tysiąc stał do dyspozycyi we Wrześni. Ze Środy przeniósł Blumen te cztery tysiące do wsi Szlachcina niedaleko Miłosławia, spodziewając się już w trakcie boju połączyć się z owym tysiącem z Wrześni, a oprócz tego z siłami Brandta. Lecz Brand, wyczerpany silnym oporem Polaków w Książu dnia poprzedniego, nie był w stanie podążyć pod Miłosław i po-

słał do Blumena huzara z depeszą, prosząc go, aby napad na Miłosław uskutecznił dopiero 1go Maja, ponieważ sił swych z nim połączyć zaraz nie może. Tego huzara chłopi pod Murzynowem złapali i przyprowadzili do sztabu głównego, a Blumen, nie dostawszy depeszy, pewien był, że liczyć może na pomoc Brandta.

Nie spieszyli się też Prusacy z uderzeniem do ataku, czekając na Brandta. Około ósmej rano, zapewne, aby dać znać Brandtowi, zapalili folwark Bugaj tuż pod Miłosławiem. Niedługo potem pokazały się pierwsze szeregi piechoty, która wkraczała do wsi Winnej Góry. W Winnej Górze były tylko 3 plutony kawaleryi i 25 strzelców. Ten oddzialik polski, dawszy ognia, z Winnej Góry ustępował, a przednia straż pruska posuwała się szeroką i prostą drogą ku Miłosławowi. Kompania kosynierów, która pod dowództwem Grabskiego stała w lasku winnogórskim, co żywo cofać się zaczęła ku miastu, aby nie być odciętą.

Powoli od strony Winnejgóry rozwinęła się główna siła Prusaków. Były to trzy kompanie 7go pułku, jeden batalion 19go pułku piechoty, 150 zgorzelickich strzelców, szwadron kirasyerów, dwa szwadrony huzarów i cztery działa piesze a dwa konne. Od strony północno-wschodniej, idąc z Wrześni przez Pałczyn i Kębłowo, ukazał się major Bomsdorf z jednym batalionem 6go pułku szlązkiej landwery i jednym szwadronem 1go pułku ułanów.

Przeciw głównej sile pruskiej stanęło dwustu strzelców pomiędzy „trzema taranami zwiniętemi w półkole“ (Brzeżański) wynalazku Mierosławskiego, dwa plutony jazdy Kurnatowskiego i Malczewskiego nieco dalej na północ, ku Pałczynowi, ułani Modlińskiego i około 600 kosynierów w okopach na cmentarzu i przy wiatrakach.

Z drugiej strony, — przeciw Bomsdorfowi, — stanął pluton jazdy Lipskiego 70 strzelców i trochę kosynierów.

Jedna czterofuntowa armatka stała przy drodze do Winnogóry, druga, trzy funtowa, zwrócona była na Pałczyn, a dwie stały w okopach.

Była najdalej dziewiąta godzina z rana. Bitwy nie rozpoczynano, bo Blumen się ociągał, czekając na nadejście Brandta, a polski sztab główny nie miał jeszcze wiadomości od nadciągających na pomoc obozów. Nadjechał Guttry z wiadomością, że obóz nowo-miejski już znajduje się w borze miłosławskim, ale że Białoskórski nad ranem dopiero stanął nad Wartą i posuwa się za Garczyńskim oddalony co najmniej dwoma godzinami pochodu.

Wtem u bram Miłosławia zatrąbił parlamentarz i zażądał złożenia broni. Nadjechał potem Blumen ze swoim sztabem, aby się widzieć z Mierosławskim. Mierosławski schwycił pożądaną sposobność opóźnienia na czas jakiś początku walki; aby dać możność nadejścia Białoskórskiemu, wyprawił do Garczyńskiego gońca z zaleceniem skierowania marszu nie na Miłosław, lecz w bok, ku Winnejgórze, i pojechał na konferencyą z Blumenem. Na moście pomiędzy obydwoma wojskami spotkały się oba sztaby. Gdy Mierosławski z Blumenem konferował po francusku o ugodzie jarosławieckiej, Brzeżański posłał Szołdrskiego do Garczyńskiego, nagląc go do pospiechu. Zmyliło to Garczyńskiego i wkroczył wprost do Miłosławia.

Po chwili skończyła się rozmowa naczelników obu wojsk i w pełnym galopie wróciły obie strony do swoich wojsk. Bitwa została zdecydowana, a wieść o tem radosnem echem wiwatów odbiła się w szeregach polskich. Odezwał się huk dział i zawarczały granaty pruskie....

Ściśnięta kolumna piechoty pruskiej ruszyła od strony Winnogóry. Artylerya zjechawszy na bok, aby swoim nie zawadzać, rozpoczęła silny ogień. Pomiędzy drogą winnogórską a pałczyńską, wolnym kłusem, jak podczas parady, posuwał się szwadron ułanów i szwadron kirasyerów pruskich, mając na swem prawem skrzydle konną artyleryą.

Słabiutki ogień dział polskich nie był w stanie zasłonić jazdy, której też te dwa plutony, naprzód wysunięte, znaczną poniosły stratę od ognia nieprzyjacielskiego i musiały się cofnąć ku miastu. Widząc ten odwrót, kirasyerzy pruscy natarli na pluton Lipskiego, lecz zostali odparci ogniem ręcznej broni z cmentarza. Tymczasem pruska piechota, posuwając się coraz dalej po drodze winnogórskiej i nie zważając na słaby ogień strzelców polskich, zajęła korzystne stanowisko w mieście przy kościele. Polska artylerya musiała się cofać, a za jej przykładem poszła jazda i kosynierowie, aby nie dać się odciąć od posiłków od strony Warty.

Potem od strony wschodniej i południowym szlakiem miasta zbierały się siły polskie w kierunku Kozubca, do boru między drogi ku Pogorzelicy i Nowemu Miastu.

Miano rzecz całkiem za straconą, Prusacy Miłosław zajęli i wyciągnięta ich linia bojowa długim sznurem posuwała się ku miastu. W szeregach polskich wszczął się popłoch i nieład. Wielu kosynierów, rzucało broń i pakunki. W całym Miłosławiu została się tylko garstka strzelców i rozpaczliwie broniła ogrodu i pałacu, atakowana przez zgorzelickich strzelców. Wreszcie wdarła się pruska piechota do pałacu. Każde drzwi niemal musiała wyłamywać, zanim pałac zajęła. We wszystkich pokojach leżały trupy, bo strzelcy polscy pardonu nie wołali, ale też go nie dawali. Kto wyskoczył przez okno, tego zakłuto na dole bagnetami.

Dr. Kazimierz Rakowski.





Z TYGODNIA.

W ubiegłą sobotę marszałek Roberts, główno dowodzący wojskami angielskiemi zajął uroczyście Johannesburg na mocy układów z komendantem miasta. W ręce Anglików dostało się dużo materyału kolejowego, lokomotyw i kilka pociągów naładowanych szacownym produktem kopalń. Tylko tylne straże Burów stawiały pewien opór wkraczającym do miasta Anglikom, nie zdołały ich marszu jednak powstrzymać. Oblężenie trwało zaledwie kilka dni. Na żądanie poddania się, odpowiedział komendant Burów, że prosi o rozejm chwilowy, do czasu zawarcia układów. Na to Roberts odpowiedział, że żąda natychmiastowego i bezwarunkowego poddania się, poczem Burowie miasto poddali, wyrażając nadzieję, że Anglicy uszanują własność prywatną i kobiety. Anglicy zabrali do niewoli znaczną ilość Burów, w mieście zajętem przez nich znajduje się żona prezydenta Krügera, odbili przytem znaczną liczbę jeńców. Ku wielkiej radości i zdumieniu przekonali się Anglicy, że kopalnie złota przez Burów zniszczone nie zostały i w jak najlepszym stanie się znajdują. Kopalnie nie zostały zniszczone zapewne z tego powodu, że w wielkiej części są one własnością Francuzów i Niemców, którzy umieścili swe kapitały w akcyach kopalnianych i obecnie, w chwili groźnego niebezpieczeństwa, zapomocą swych rządów wpłynęli groźbą osobistą na starego prezydenta, aby kopalnie oszczędzał. Krüger działał w tym czasie nie jako pod przymusem osobistym, i Niemcy i Francya mimowoli więc przysługę wyrządziły Anglikom, zapewniając im posiadanie zdobyczy tak cennej.

Niektóre angielskie gazety zaznaczają obecnie, że tak szybkie zajęcie Johannesburga przez marszałka Robertsa może nie wyjść na dobre Anglikom o tyle, że nie zajęli oni jeszcze dotychczas całego kraju i łatwo mogliby być odcięci przez Burów. Jednakowoż zdaje się, że Burowie już zupełnie zrezygnowali. Przyczyniło się do tego w wielkiej mierze zajęcie Oranii przez Anglików, która już

oficyalnie przestała istnieć. Zabór republiki orańskiej na rzecz Anglii został uroczyście ogłoszony przez generała Pretymanna na rynku w Bloemfontein. Nazwa kraju została zmieniona na „kolonię nad rzeką Oranie“.

Tak tedy, o ile jakieś nieprzewidziane wypadki nie przyjdą Burom w pomoc, na co się bynajmniej nie zanosi, można uważać za ukończony, krwawy dramat, który przez 9 miesięcy odgrywał się w Afryce południowej. Niezależne republiki burskie znikną z widowni, olbrzymie państwo angielskie tuczyć się będzie ich siłami i bogactwem, a siła nowy tryumf święcić będzie nad prawem. Każdy szlachetny człowiek serdecznie ubolewać musi nad upadkiem małego, lecz dzielnego ludu burskiego i w duszy życzyć upadku ich ciemiężycielom. Rząd niemiecki wysyła gratulacye Anglikom z powodu ich zwycięztwa nad Burami.

Zaledwie skończyła się wojna w południowej Afryce, gdy skądinąd — z dalekich krańców Azyi dochodzą wieści o groźnych przygotowaniach do wojny. W Chinach mianowicie, pod rządami cesarzowej matki, która jest zdeklarowaną zwolenniczką starego chińskiego trybu i wrogo usposobiona dla Europejczyków, zaczynają się groźne zapowiadać rozruchy w celu wymordowania przybyszów europejskich. Przyspieszy to tylko oczywiście ostateczne rozwiązanie kwestyi chińskiej i rozbiór Chin przez mocarstwa europejskie, wszystkie rządy bowiem, aby bronić życia i mienia swych poddanych, przygotowują wyprawy na daleki Wschód. Rosya podobno wysyła już parę tysięcy kozaków, którzy na „swój sposób“ zaczną tresować Chińczyków i wpajać im miłość dla europejskiej kultury. Wśród ogólnego rozprzężenia największe wpływy ma obecnie w Chinach sekta „bokserów“, która zawiązała się w wyraźnym celu wymordowania wszystkich Europejczyków. Mianowicie misyonarzom katolickim i protestanckim zagraża z ich strony wielkie niebezpieczeństwo. Dochodzą nawet wieści, że w jednej z mniejszych osad misyonarzy popełnili „bokserowie“ obydne gwałty na Europejczykach. Będzie to pożądadaną dla rządów sposobnością domagania się satysfakcyi i mięszania się do spraw chińskich.

Renomowani komisarze berlińscy nie zdołali dotychczas wyśledzić mordercy Wintera w Chojnicach. Z tego powodu ludność jest niesłychanie oburzona.

W ostatnich dniach aresztowano Hoffmana (rzeźnika) i jego córkę pod zarzutem zbrodni popełnionej na ofierze prawdopodobnego zabobonu żydowskiego. Policya tym czynem fatalnie się zblamowała, Hoffmanna bowiem wypuszczono na wolność, a komisarze chcą wracać do Berlina, lepiej śledzić rzezimieszków, niż maczać ręce w sprawie, w której na każdym kroku niesłychana zaciekłość żydowska im przeszkadza w dojściu do jakichkolwiek rezultatów.

Niezmiernie ważne zeznania miał poczynić niejaki Masłow (Maslow). Miał on zamiar popełnić kradzież w sklepie Lewy'ego i zakradł się do jego domu właśnie w dzień spełnienia morderstwa. Po chwili, jak opowiada Masłow, przybył Lewy z wielkim nożem, nie domyślając się obecności ukrytego rzezimieszka, który obserwował całą zbrodnię. Ponieważ, z obawy przed karą, Masłow poprzednio inne złożył zeznania i to pod przysięgą, wytoczono mu proces i osłabi to wagę tych jego ostatnich odkryć. *K. O.*



PRZEGLĄD PRASY.

Czytelnicy „Pracy“ w następnym numerze znajdą opisy uroczystości krakowskich z okazyi jubileuszu wszechnicy jagiellońskiej. Nie powtarzamy więc tu głosów naszej prasy, która w imieniu całego społeczeństwa serdeczne złożyła życzenia *Almae Matri* w dzień pięćsetletniego jej istnienia i działalności. Nietylko jednak nasza prasa, ale i prasa ościennego narodu czeskiego poświęciła obchodowi temu życzliwą uwagę.

Praska **„Politik“** pisze pod adresem wszechnicy jagiellońskiej:

„Przez pamięć na wszystkie te tysiącletnie kulturne stosunki między Czechami a Polską, przez pamięć na wszystką wspólnie dokonaną pracę w dziedzinie hmanizmu i oświaty, obchodzimy wspólnie tę honorową pamiątkę ich (Polaków) pierwszej „Alma mater“, tej młodszej siostry naszej wszechnicy Karola Ferdynanda i radujemy się razem z nimi z licznych zwycięztw w walce duchowej, na które uniwersytet jagielloński z dumą może spoglądać. Niechaj rośnie i rozwija się w najdalszą przyszłość ta starodawna, pełna chwały siedziba słowiańskiej kultury, owa potężna twierdza ducha słowiańskiego!“

Jak wiadomo, wszechnica w Pradze założona była o 16 lat wcześniej, niż krakowska, a obie zaś założone zostały wcześniej niż którykolwiek z uniwersytetów niemieckich. Piękne to świadectwo dojrzałości ducha słowiańskiego, że pierwsze dwie wszechnice w zachodniej Europie powstały na ziemiach słowiańskich. Pod tym względem Niemcy pozostali w tyle i to też, był zapewne jeden z powodów, dla których uniwersytety niemieckie nader chłodno i z rezerwą się zachowały wobec jubileuszu krakowskiego. Uniwersytet berliński wydelegował swego rektora, prof. Fuchsa do Krakowa, taktownie sobie postępując wobec zaproszenia Krakowa; — ale taki np. uniwersytet lipski, gdzie rej wodzi znany hakatysta prof. Lamprecht na zaproszenie krakowskie dał taką odpowiedź: „Po długich debatach — uchwalono przejść nad zaproszeniem do porządku dziennego.“ — Uniwersytetu warszawskiego, jako instytucyi raczej policyjno-politycznej niż naukowej, nie zaproszono.

Sprawa morderstwa w Chojnicach coraz szersze przybiera rozmiary i, jak się zdaje, niechybnie doprowadzi do jakichś nadzwyczajnybh środków, które rząd przedsięweźmie. Panuje przekonanie wśród ludności, że poszlaki morderstwa rytualnego są tak poważne, iż dałyby się przeistoczyć w pozytywne dowody, jednak w razie wykrycia istotnych zbrodniarzy zachodziłoby takie niebezpieczeństwo dla życia i mienia obywateli żydowskich, że odbić by się to musiało na całym wewnętrznym ustroju państwa. To byłyby więc polityczne pobudki, opóźniające wykrycie winnego.

Tymczasem, jakby na poparcie artykułu ogłoszonego przez nas na podstawie książki prof. Stracka, — że krew chrześciańska używaną jest przy zabobonach żydowskich ogłasza antysemicki organ poznański **„Postęp“** co następuje:

„Pobiedziska 23. maja.

„Zeszłego roku a więc 1899 piętnastoletnie dziewczę chrześcijańskie (ewangelickie) Hedwig (Jadwiga) Zerbian tu z Pobiedzisk, mająca biednych, ale poczciwych rodziców, ładna i miła na wejrzeniu, posługiwała u pewnego żyda także tu w Pobiedziskach, którego dnia nie pamięta, jednakowoż, jak nam opowiadała było to zimą, a zatem przed Wielkanocą. Przypadek chciał, że się zażgła widelcem w palec od ręki, co spowodowało, że dosyć mocno krew ciekła. Spostrzegła to żona owego żyda i nie kazała jej owej krwi tamować, ale skwapliwie pobiegła po filiżankę i trzymała pod owym palcem, ażeby ani jedna kropla krwi się nie uroniła. Gdy już więcej krwi nie płynęło, bardzo starannie z owej filiżanki we flaszeczkę wlała, zakorkowała i do sklepu zaniosła, do czego ją chciała użyć nie wiadomo? niech się z tego wylegitymuje.

„To jest wszystko, co żeśmy na własne uszy od wyżej wspomnianego dziewczęcia słyszeli.

T. Kuśnierkiewicz J. Sniadecki.“

Powyższe zdarzenie w jeden tylko sposób da się wytłomaczyć: mianowicie w ten, że żydzi używają krwi niewinnej (niekoniecznie z zamordowanej ofiary utoczonej) — do oczyszczania się z grzechów, ponieważ wierzą, że grzechy ich spływają na tę krew niewinną. Powinnoby to być ważną wskazówką dla poszukujących mordercy komisarzy policyjnych.

Katolicy niemieccy w Księstwie coraz bardziej skłaniają się na stronę hakatyzmu. W odbytych świeżo w Lesznie wyborach uzupełniających na posła do sejmu pruskiego niemieccy katolicy z małymi wyjątkami głosowali na wolnomyślnego żyda Edwarda Wolffa, aby tylko nie dopuścić do wyboru Polaka. Piszą o tem z Gostyńskiego powiatu do **„Kuryera Poznańskiego“**:

„Przy ostatnich wyborach z okręgu tutejszego mieliśmy sposobność przypatrzeć się w Lesznie przygnębiającemu widokowi, jak społeczeństwo niemieckie, zaślepione w swym szowiniźmie, zapo-

mniało już, że jest chrześcijańskiem, i ślepo rzuciło się w objęcia judaizmu. Bo czyż tego nie dowodzi wybór na posła do sejmu pruskiego, p. Edwarda Wolffa, adwokata i notaryusza tamtejszego?

„Mniej mnie zadziwiło głosowanie t. zw. konserwatystów, którzy tem samem dowiedli, że są wszystkiem innem, ale nie konserwatystami — mógłbym ich prawie nazwać poganami, kiedy tak sobie postępują w życiu publicznem.

„Co więcej jednak jest oburzającem, to zachowanie się przy wyborach Niemców katolików, którzy z małemi wyjątkami także swe głosy oddali na żyda.

„To ich postępowanie już jest zupełnie niezrozumiałem; dowodzi nie tylko braku logiki, ale i odwagi cywilnej. Co powie na to stronnictwo centrum? Przecież im racyi nie przyzna, bo dla katolika racya stanu nie istnieje, jeżeli się Chrystusa zaprzeć trzeba...“

To postępowanie centrowców ma być zapewne nagrodą za to, że w ostatnich wyborach do parlamentu w okręgu wschowsko-leszczyńskim Polacy w swej głupocie (bo inaczej tego dalibóg nazwać nie można) zrezygnowali z postawienia własnego kandydata na rzecz centrum i oddali swe głosy odrazu centrowcowi, ks. Taschowi z Leszna, którego też przeprowadzili.

Wtedy centralny Komitet wyborczy tym postępkiem oburzył na siebie całą zdrowo myślącą część społeczeństwa. Mamy nadzieję, że już się więcej takie wysługiwanie się centrowcom nie powtórzy, bo wtedy mybyśmy byli pierwsi, którzyby nawoływali do obalenia takiej decyzyi Komitetu centralnego. A znalazłoby się pewnie i więcej pism, które tą samą drogą by poszły...

„Dziennik Poznański“ pisze w tej kwestyi:

„To zajście w Lesznie jak niedawno w Chojnicach, gdzie to centrum, najmniejszych nie mając widoków powodzenia, przeciwstawiało kandydatowi polsko-katolickiemu kandydaturę ks. Gehrta, przez co obóz katolicki osłabiło i samo przyczyniło się do zwycięztwa przeciwników katolicyzmu, musi spowodować rewizyą stosunku naszego do centrum w sprawach wyborczych. Na Górnym Slązku żyje ono wyłącznie z głosów ludności polskiej, w części także w Prusach Zachodnich, a w Księztwie odstąpiliśmy mu z góry dwa okręgi wyborcze (wschowsko-leszczyński i czarnkowsko-chodziesko-wieluński), teraz znowu na Slązku w powiecie rybnickim ludność polska okazała mu dobrą wolę, decydując się wybrać po zmarłym pośle Huenem hrabiego Praschmę. Jeżeli jednak za taką względność polską wyborcy centrowi utrudniają nam zwycięztwo w przeważnie polskich okręgach, a gdzieindziej jak w Lesznie łączą się nawet z wrogami katolicyzmu, byle nie głosować na katolika narodowości polskiej, to będą nasze władze wyborcze musiały się zastanowić, czy wobec takiego przeniewierstwa dalsze nasze towarzystwo broni z centrum jest możliwem. Ulegając w naszych dzielnicach presyi hakatyzmu i naciskowi władz, centrum same je zerwało i dlatego sądzimy, że w przyszłości pójdziemy we wszystkich okręgach naszych o własnych siłach, w kompromisy z nikim wdawać się nie będziemy, ustępstw nikomu nie będziemy robili, tylko wszędzie postawimy własnych kandydatów, nawet tam, gdzie nie mamy widoków zwycięztwa.

„Nie chodzi tyle o to, żeby wybrać jednego posła mniej lub więcej, tylko o zdobycie jak największej liczby głosów polskich, o wyprowadzenie do urny jak największej liczby polskich wyborców, mianowicie w powiatach kresowych, bo to najlepszy sposób budzenia tam samowiedzy narodowej.“

Wyrażone tu zapatrywanie najzupełniej podzielamy i uznajemy. Wystąpieniem w tej sprawie, jak również w sprawie *lex Heinze*, „Dziennik Poznański“ wynadgradza wiele dawnych błędów.

Polacy na obczyźnie organizują się coraz lepiej, przoduje w tem Westfalia. W **„Wiarusie“** bochumskim znajdujemy opis wiecu polskiego w Habinghorst, zwołanego staraniem „Związku Polaków“:

Wiec zagaił i przewodniczył mu przewodniczący związku p. Wacław Funtowicz z Essen. Następnie zabrał głos p. Sibilski z Bochum, aby przedstawić wiecownikom obowiązki Polaków względem swej narodowości i wiary. Mówca stawił jako przykład Czechów, zachęcając do równej wytrwałości w obronie naszej narodowości. W końcu wspomniał o zapalczywości niemieckiej i o krzywdzie, jaką wyrządzają nam Niemcy, wyrzucając język polski ze szkoły. Potem zabrał głos p. J. Bieliński z Bochum i z kolei wyliczył różne „dobrodziejstwa“, jakie panowie Niemcy w ciągu ostatnich lat nam Polakom wyrządzili. Niemcy bardzo często chwalą się, że świadczą Polakom wiele dobrodziejstw, ale Polacy tego ocenić nie umieją. Mówca przytoczył jako pierwsze takie dobrodziejstwo, którem Prusacy w ostatnich latach nas obdarzyli, komisyą kolonizacyjną, na którą Polacy również pieniądze w formie podatków składać muszą, a mimo to nie wolno im kupić kawałka ziemi od komisyi kolonizacyjnej, bo ta Polakowi jej nie sprzeda, chociażby ją przepłacił. Polak nie dostanie od komisyi kolonizacyjnej ani kawałka tej odwiecznej ziemi polskiej jedynie dla tego, że jest Polakiem. Drugiem „dobrodziejstwem“, to wyrzucenie nauki języka polskiego ze szkoły. Dalszemi „dobrodziejstwami“ pruskiemi, to naprzykład zakaz umieszczania wyrazu „Apteka“ przed drzwiami polskiego aptekarza i zakaz nalepiania napisów polskich na butelkach z lekarstwami, podczas gdy niemieckim aptekarzom wolno dla zwabiania Polaków umieścić przed drzwiami wyraz „Apteka“ i przylepiać na butelki napisy polskie, a dalej zakaz wywieszania w gospodach tablic, na których wypisano po polsku, kiedy i gdzie towarzystwo miewa swe posiedzenia i t. d. Takiemi oto dobrodziejstwami darzą nas Niemcy, a potem żądają jeszcze, abyśmy za to wszystko ich kochali. W końcu wezwał mówca do gorliwej obrony praw, jakie nam Polakom w Niemczech przysługują. — P. Stefan Rajer z Wattenscheid i p. Pachura z Hortshausen mówili o oszczędności i trzeźwości i w gorących słowach zachęcali do pielęgnowania tych cnót, a p. Jarczyński z Habinghorst zganił opieszałość niektórych Polaków.

„W końcu przemówił p. Wacław Dąbkiewicz z Rauksel o prześladowaniu Polaków, zaznaczając, że to prześladowanie przyczyniło się do tego, że Polacy zabrali się tem gorliwiej do obrony swej narodowości. Wiec zakończono pieśnią: „Kto się w opiekę.“

Szanownych Czytelników na obczyźnie prosimy, aby nam donosili o każdym odbytym wiecu — i w tej myśli wołamy z całego serca: niech żyje wiec następny. *B. M.*



Głosy od Przyjaciół.

Z Prowincyi.

Szanowna Redakcyo.

Jako oddany Ci całem sercem czytelnik i zwolennik chcę się zwierzyć z wrażeniem, jakie odniosłem z podróży po Prusach Zachodnich i pobytu w Starogrodzie. Miasto to w połowie jest zaludnione przez Polaków, a jednak nie zdarzyło mi się usłyszeć na ulicy ani jednego słowa polskiego; o kilku panach wiedziałem nawet na pewno, że są Polacy, ale pomimo to mówili ze sobą po niemiecku. Czy to nie jest zbrodnią takie postępowanie? W domu też zazwyczaj się mówi jakimś nieznanym językiem, słowo po polsku, słowo po niemiecku, a w dodatku tak poprzekręcane wyrazy, że to żal się Boże. W szkole dzieciom nie wolno mówić po polsku, a rodzice nie zważają na to, aby w domu dzieci miały sposobność nauczenia się ojczystego języka. Po ukończeniu szkół, gdy do fabryki iść muszą jako niedorostki, przecież się już nie nauczą dzieci języka ojczystego, jeśli się go za młodu w domu nie nauczą. I mimowoli uczułem wielką zgryzotę w sercu, bo choć nam w Poznańskiem bardzo wiele brakuje, to jednak przecież na punkcie języka jeszcze tak źle nie jest jak w Zachodnich Prusach. Dlatego też sądzę, że smutne spostrzeżenia moje powinnyby zachęcić jednostki czujące zło, aby za pomocą zdwojonej energii obudzić życie w towarzystwach, pismom ludowym przysporzyć czytelników, nowe zakładać stowarzyszenia i organizować się na każdem polu, bo niebezpieczeństwo jest wielkie. A najgorsze niebezpieczeństwo grozi nam ze strony tych, którzy się mienią naszymi przyjaciółmi — od centrowców. Oni to, powołując się na wspólność wiary, prowadzą lud nasz na manowce tłomacząc mu, że to wszystko jedno, kto Polak a katolik, i aby tylko katolikiem być nie przestał, Polakiem przestać być może. Tak np., gdy nasz dzielny pan Czarliński kandydował, oni przeciw niemu wystawili księdza Behrenta i taką zdradziecką wojnę wiedli, aby tylko ogłupić masy ludu, że skoro ksiądz — to swój, to Polakowi brat. Tymczasem to braterstwo z Niemcami wszelkiej barwy oddawna już na kołku zawiesić należy. I w tym kierunku uświadomienia naszego ludu należy pracować.

Wierny czytelnik
Maryanowicz.

* * *

Z Rogoźna.

Będąc stałym abonentem „Pracy“, którą dla dążności narodowej i licznych rad i wskazówek praktycznych wysoko

cenię, wyczytałem aż dwie korespondencye z naszego miasta, krytykujące może za ostro nasze obywatelstwo. Chcę więc cokolwiek światła rzucić na czarne tło naszego mieszczaństwa i wyświetlić niektóre przyczyny złego. Rogoźno, jedno z najstarszych miast naszej dzielnicy, traci coraz bardziej charakter miasta polskiego. Żywioły: polski, niemiecki i żydowski są tu prawie równo rozdzielone. Okolica, jeszcze przed dwudziestoma laty zupełnie polska, stała się zbiegiem czasu z małemi wyjątkami niemiecką — niestety przez kolonizacyą. Dlatego też przemysłowcy polscy trudne mają stanowisko w mieście, narażeni na konkurencyą obcych; ale jeszcze więcej cierpi pod napływem germanizmu duch polski. Wpływ germanizmu nie działa tylko zabójczo na szkołę, ale wciska się także drzwiami i oknami do domów naszych, zaraża pożycie familijne. Znajdują się u nas indiwidua, które dla przypodobania się rządowi lub też z głupoty przemawiają do swych dzieci mową wrogów naszych; a młodzież nasza, nawet inteligentniejsza, nie może się całkiem obyć bez piosnek niemieckich w życiu towarzyskiem. Śród takich stósunków przyszłość naszego polskiego mieszczaństwa w czarnych przedstawia się barwach. Istnieją już pare mil od Rogoźna miasteczka, w których Polacy nie rozumieją po polsku. Do tego jednak w Rogoźnie tak wnet nie przyjdzie. Mamy już teraz dość silne Towarzystwo robotnicze, które zaczyna się pięknie rozwijać, mamy już oddawna Towarzystwo przemysłowe, które jakoś zaczyna się budzić do życia. Daje się tu odczuwać wielki brak Towarzystwa śpiewackiego. Jak potężnie działa na serce i umysł, jak budzi i ożywia ducha narodowego pieśń polska, przekonał się każdy, który tylko raz był na koncercie śpiewaków poznańskich. Przy dobrej chęci i woli znajdliby się i u nas śpiewacy, a z przybyciem prawdopodobnem nowego organisty znalazłby się też niezależny od rządu dyrygent śpiewu. Młodzież nasza przemysłowa lub rzemieślnicza ma aż nadto czasu na pare godzin ćwiczenia, zresztą godziny te odwiodłyby ją od wieczornych schadzek lub nocnych pohulanek, którym trzeba w części przypisać tę obojętność naszej młodzieży dla sprawy narodowej. Bądź co bądź jednak ostatni występ Towarzystwa przemysłowego i wiele obiecujący początek Towarzystwa robotniczego oraz świeżo założone Towarzystwo kołowników „Gwiazda“ napełnia nas otuchą, że się jakoś nie damy zgermanizować. Towarzystwom: przemysłowemu, robotniczemu i „Gwiazda“ szczęść Boże w dalszej pracy!

Przyjaciel.

(Prosimy o częstsze listy. Redakcya „Pracy“.)

* * *

Żnin.

Czy już kiedy kto słyszał jak się nasi Pałuczanie bawią? czy już kiedy kto słyszał, jak ze sobą żyją, albo czy posiadają ducha dla czegoś lepszego i wyższego? Z pewnością powie sobie każdy, „czy rzeczywiście istnieje jakaś cząstka naszych Polaków na Pałukach zwanych Pałuczanami?“

O Bracie! udaj się tylko w okolicę Żnina, przypatrz się temu ludowi, jego obyczajom, jego ogólnemu życiu, a powiesz sobie: „Nie pojmuję, jak możemy li tylko myśleć o Kujawach i mówić „iż nie masz w naszej Wielkopolsce takich ludzi jak nasi Kujawiacy!“ O Bracie! mylisz się okropnie — gdyż nasz Pałuczanin nie chełpi się, lecz w cichości pracuje, w cichości żyje dla dobra całego swego kraju i w cichości się bawi i tam prawie wcale nie znajdujesz różnicy stanu, — tak oni z sobą żyją. Jako przykład pozwolę sobie przytoczyć fakt jeden nie zbyt doniosły, a jednakowoż w swojem znaczeniu dla nas uciśnionych i z rozmaitych stron drażnionych fakt, który niechaj *każdemu*, bądź to chłopkowi, bądź to mieszczaninowi, lub szlachcicowi i księdzu, jako symbol naszego rychłego, wspólnego i ogólnego złączenia się, — dałby Pan Bóg — w jaknajkrótszym czasie, posłużyć raczył!

Parafia żnińska cieszyła się blizko osiem lat posiadaniem kapłana ks. Walczaka, który był rzeczywiście kapłanem, nietylko w kościele, ale i po za kościołem, sercem i duszą, odczuwając to samo, co każdy prawy Polak dla swego ukochanego upadłego kraju odczuwa, bo pozakładał bardzo wiele zbawiennych stowarzyszeń.

Wyroki Boże, powołały Go na opustoszałe probostwo do Gorzyc. Ale i tu nie zapomniał o swoich dawnych kochanych owieczkach, zaprosił bowiem swoich kochanych Żniniaków na Wniebowstąpienie do siebie do ogrodu, mówiąc, iż chciałby nam pokazać swoją obecną siedzibę.

I cóż robimy? — Otóż nasz kochany ks. Jasiński zebrał drużynę — i dalej — ruszyliśmy do Gorzyc, naturalnie chcieliśmy odwzajemnić się za tak życzliwe zaproszenie, więc nasze „Kółko śpiewu kościelnego“ nauczyło się kilku naszych kochanych narodowych pieśni.

Lecz — jakeśmy się cieszyli, z tego serdecznego zaproszenia — przybywszy do Gorzyc — tak osłupieliśmy pod wrażeniem, jakie na nas wywarło przywitanie! —

W asystencyi księży Sikorskiego z Góry i Jasińskiego ze Żnina wyprowadził nas ks. Walczak małą garstkę — bo nas tylko było około 80 wraz z paniami, do swego niedaleko odległego borku, i cóż tu nam za widok się przedstawił? — — Parafia Gorzycka prawie cała, i wielu jeszcze z innych przyległych parafii, wśród ładnie urządzonego borku, zaopatrzonego w stoły i ławki....

Tu mógłeś widzieć i szlachcica i mieszczanina, i chłopka i robotnika, naturalnie nie wyjmując i księży, a wszyscy — prawie z familiami.

Zaczęły się zabawy — muzyka skombinowana z harmoniki, fletu i dwojga skrzypiec powodowała do tańca. I tu nie widziałeś żadnego wyróżnienia — — nie pytano się: „czy mi dość dobrze z tym albo z tą tańczyć?“ lecz *wszyscy wspólnie* tańczyli. Nasz kochany ks. Jasiński niezrównany w zabawie — bawił każdego. — Najprzód dzieci w rozmaite gry i zabawy, a potem młodzież, która przedewszystkiem kotka i myszki nie zapomni.

Zaśpiewano: „Pamiętne dawne Lechity“, „Gdy w czystem polu“, „Hulankę Chopina“, „Tam daleko za górami“, „W lesie“, „Taki los przypadł nam“ na męzkie mieszane głosy.

W końcu mieliśmy wielką niespodziankę — ale — coś podobnego — to trudno znaleść pomiędzy milionami, aby zwyczajny rzemieślnik, bez żadnego wykształcenia, mógł coś takiego ułożyć. Otóż młynarz, pan Stanisław Burzyński z Podobowic, z nieśmiałością poprosił o spokój i swego własnego utworu następujący wiersz wypowiedział:

Wycieczka Śpiewaków ze Żnina.

Jedzie drużyna z pieśnią od Żnina
Niby górale od Karpat góry
I to nam dziwna jakaś przyczyna
Tak jakby spadli z pod chmury.
I jak w powietrzu pędzą te złoty
Serca ich gorzeją nadzieją,
Jakby ich spotkać miał ów wiek złoty
Tak, że się usta ich śmieją.
Niejeden pyta, dokąd ci jadą,
Drugi znów pragnie gaworzyć,
Trzeci powiada dążą z paradą,
Ów mruknie, jadą do Gorzyc.
Poco ich Pan Bóg dziś tam prowadzi—
Taka piosenka śpiewana,
Prawdę Wam powiem to nie zawadzi,
Bo chcą tam uczcić kapłana, —
Który to z nimi jak ojciec dobry
Był, kochał przez ośm latek,
A że i sercem jest dla nich szczodry,
Przeto zaprzągnął swych dziatek.
Pragnie on z nimi utworzyć koło,
W serca im nalać otuchy,
Z pieśnią na ustach nucąc wesoło:
„Witam Was! witam! tu zuchy!
„Dzielę się z Wami tu wiejskim chlebem,
„Na który grubo zmielone
„Jedzcie go ze mną pod gołem niebem
„Tu gdzie to dziwo zielone.“
Jak dobry ojciec na nowej niwie
Spogląda okiem łzawionem,
Żyjąc w ich gronie dzisiaj szczęśliwie
Czuje się błogosławionym.
A więc cne druhy serca do góry
Uczcijmy Ojca Kapłana,
Niech każdy krzyknie jak może który
Wzniesie swą duszę do Pana!
. . . .
A organisto, żniński grubasie,
Otwórz swe piersi jak wrota,
A z nich zawdzięczysz jakby na basie
Niech żyje: zgoda i cnota!
Więc Gorzyczaki i Wam wesoło
Z takim kapłanem żyć będzie,
Co nabrał sławy wszędzie w około
W święto-kapłańskim urzędzie.
Więc proście Boga o jego zdrowie
I nawet o długie życie,
Że Was ukochał, pewno Wam powie,
Toć niezadługo ujrzycie.
Niech jego zdrowie każdy wypije
Komu przyjemna ta sprawa,
Niechaj ksiądz Walczak długo nam żyje
Na tem skończona zabawa!

Naszej radości ogólnej granic nie było.

Około 9. godz. wieczorem wracali wszyscy na probostwo. Po drodze zrobiono przy miłym wietrzyku wyścigi z jednej, w pobliżu leżącej góry, które się odbyły przy spaleniu ogni bengalskich.

Patrząc na ten krajobraz, na te widowiska, to niejako człowiekowi serce przejmowało się nadziejną rzewnością, i każdemu te chwile spędzone harmonijnie w Gorzycach w długie lata zostaną błogiem przypomnieniem.

Poczem zaśpiewano przed plebanią: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“, a Kółko zaśpiewało: „Na Dobranoc“ i rozjechał się cały orszak do swych domów.

Józef B.



Dział ekonomiczny.

ROLNICTWO, HANDEL, PRZEMYSŁ.

O stolarstwie artystycznem i jego nowoczesnych zadaniach.

Napisał
T. Filipowicz.

V.
(Dokończenie.)

Tak połączona sztuka z przemysłem stworzyły nowe, świeże formy i sprawiły, że meble angielskie odpowiedziały lepiej wymaganiom przemysłu artystycznego. Badanie tych *podstaw* ruchu angielskiego jest rzeczą wielce pouczającą. Poznanie sposobu, jak pracowali Anglicy, to jest ich *metody* bardzo ważne, połączenie i porozumienie się z artystami naszymi, krajowymi, dopomoże do stworzenia prawdziwego przemysłu narodowego.

Dodatnie strony mebli angielskich tak się w Niemczech przyjęły, że wystawa Berlińska z r. 1896 miała za hasło: angielszczyznę.

Nowożytny kierunek nie ma się trzymać cech przypadkowych zewnętrznych, ale istoty rzeczy, a pracować w myśl celowości i prawideł.

Naturalnie stolarz powinien poznawać to, co przychodzi z zagranicy dobrego, wielkiego, ponieważ to go uczy i zachęca. Biórko wystawione przed kilku tygodniami w sali szkoły obywatelskiej na ulicy Naumanna, zakupione przez Kunstgewerbe-Muzeum Berlińskie, było dziełem oryginalnem francuskiego architekta Plumet. Przykład to bardzo pouczający, bo próba innej drogi: zrzeczenie się wszystkiego, co dało style dawne, bez wszelkich ornamentów i wyrażenie się tylko *w ruchach i w falowaniach* linii, w delikatnych profilach pojedyńczych podpór, w barwności drzewa i t. d. Jest w nim wspaniała gra sił. Pobudkę mógł był Plumet wziąć ze stylu rokoko, ale tu widać, jak się uczył od starożytnych. W stylu rokoko trzeba zważać na spojenia, na grę wdzięcznych linii i łuków, na cały sposób roboty, bo palmety i muszle są tylko dodatkiem. Krzesło Plumeta wystawione obok wzmiankowanego biórka rozwiązało zadanie następne: Skonstruował krzesło w liniach łukowych, aby ciało mogło w niem wypocząć, i aby się dało dogodnie uchwycić w celu przeniesienia na inne miejsce; bez ornamentyki a jednak zdobne.

Co do ornamentyki, to płaskowzory z natury polecenia godne. Zadania takie powinni sobie stawiać technicy pospołu z artystami. Tylko jeżeli praktyk użyje się w duchu artysty, przemysł postąpić może. Wspólna praca techników i artystów na podstawie zasad doprowadzić jedynie może do rezultatu tj. *stworzenia stylu.* Jeżeli się pracuje odpowiednio i to na podstawie zasad, to nowe wyniki same przez się przychodzą. Gust trzeba wyrabiać — błędy naszego czasu uznawać i unikać ich pilnie.

Polecamy: „Illustrirte Schreinerzeitung", z której nauczyć się można prostoty.

Meble niemieckie są popszczywane nazbyt silnymi gzemsami i profilami. W angielskich mimo braku systematyczności jest jednak równowaga a przez technikę stają się sympatyczne, wnęki zdobne w intarzyą albo malowane. Nowe tendencye, najnowsze próby zamierzają rezygnując z form historycznych, zbudować coś nowego.

Meble powinny się zlewać w całość harmonijną z mieszkaniem. Nie pojmujemy jeszcze domu osobnego jak Anglicy i Amerykanie. Dopiero *w Zakopanem* zapoczątkowano to. Domy niemieckie koszarowe — wielopiętrowe dla umeblowania są niekorzystne.

Niemcy mają także fałszywą skłonność do przepychu w dekoracyi domów, styl ich imitacyjny; fasady naśladują piaskowce, stukaterya marmur. Drzewo także w tym „stylu imitacyjnym", malowane farbami olejnemi, przybiera *pozór* szlachetniejszego drzewa, flisy, tapety, ceramika, wszystko obliczone na efekt a nie szczere.

Polecamy tu pisma Lichtwarka, dyrektora muzeum w Hamburgu i to książkę o oknach pałacowych i podwojach.

Ten fałszywy przepych widzimy także w sufitach; jest tam przesada w stukateryi, nazbyt ciężkie profile, nie zastósowane do pokoi, proporcya nie zachowana.

Tapety pod dwu względami fałszywe. Najpierw naśladują drogi adamaszek i t. p., po drugie mają wzory zbyt jaskrawe.

Tapety powinny robić wrażenie spokojne, służyć powinny jako tło meblom; stanowić wraz z nimi jednę całość.

Piece kaflowe niemieckie za olbrzymie i przeładowane ornamentyką.

Ażeby i mieszkanie było w stylu prostym, powinno być szczerem i rzetelnem.

Ściany jednolite, sufit gładki. *Kolor* powinien być czynnikiem podstawowym dzisiejszej dekoracyi.

Angielskie materyały na pokrycia mebli zreformowano pod wpływem artystów.

W zasłonach powinno się zważać na barwę, a nie na wzorzystość. Fałdy zasłon powinny być spokojne i nie za obfite, bez żadnych *sztuczek* tapicerskich.

Ozdoba podłogi — dywan powinien być niejaskrawy, spokojny. Polecamy rysunki Eckmanna.

Dywany perskie zanadto są pstre. Pers patrzy na nie zbliska siedząc na nich bezpośrednio; my na dywanach stawiamy meble.

Dotychczas dopiero Anglicy doprowadzili do zestrojenia w harmonijną całość mieszkania z jego umeblowaniem. Życzyć tylko można, aby i u nas artyści w połączeniu z technikami obudzili zrozumienie to w publiczności.

Na zakończenie zwracamy jeszcze powtórnie uwagę na ruch *zakopiański.* I naszym obowiązkiem jest go popierać. Oby większa liczba artystów i rzemieślników nim się zainteresowała; mamy przecież zdolnych ludzi we własnym kraju, tak artystów w Krakowie, Warszawie, Lwowie, jak i stolarzy nie wyłączając Poznania.

Dzisiaj za mała jeszcze garstka osób kieruje tym ruchem i za mało pracowników, aby podołali zapotrzebowaniu, jakie się już w publiczności przebywającej latem (mianowicie z Warszawy) w Zakopanem objawia.

W Warszawie była już wystawa mebli zakopiańskich w komplecie. Niestety prasa nie poświęciła jej dość uwagi. A jednak i dla nas w Poznaniu sympatyczniejsze byłyby meble w stylu zakopiańskim, aniżeli tam jakieś naśladowanie stylów obcych.

Niestety cło i koszty przewozu podrażają je niezmiernie; zalecało by się je tu wyrabiać.

Dobrze byłoby, aby nasi inteligentni stolarze *zainteresowali* się tem, poznali meble zakopiańskie, a może wysłali zdolniejszego rzemieślnika do Zakopiańskiej szkoły przemysłu drzewnego; nawiązali stosunki z tamtejszymi stolarzami, poznali tamtejsze meble czy to w oryginale, czy w rysunku.

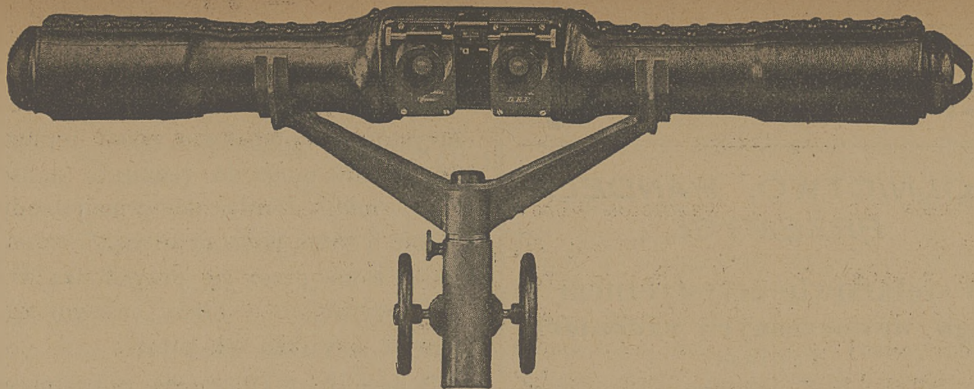
Wdzięczne są tamtejsze samorodne motywy ozdobnicze.

W warszawskiem muzeum przemysłowem są już odpowiednie wzory zakopiańskie, nagromadzone przez dra Benniego.

Za hasłem stolarzy pójdzie i publiczność.

A choćby i kto nie wierzył w *gotowy* styl zakopiański jako taki, to w pierwiastki jego rodzime — samorodne uwierzyć musi — a do wyrobienia stylu polskiego odrębnego przyczynić się powinniśmy wedle sił wszyscy tak rzemieślnicy jak i publiczność.





Stereoskopowy miernik odległości.

Stereoskopowy miernik odległości.

(Do illustracyi).

Nowy dalekowidz Karola Zeissa z Jeny, jest to instrument, który obok korzyści rozszerzania widnokręgu, daje nadto możność zmierzenia odległości każdego punktu krajobrazu. Na powierzchni pola na obrazie znajdują się znaki i liczby, które patrzącemu obydwoma oczami przez dalekowidz, zdają się leżeć po nad krajobrazem, tak więc, że szukana odległość jakiegoś punktu z punktu widzenia patrzącego może być bezpośrednio wynaleziona. Bardzo pojedyńcze urządzenie umożliwia też używanie tego aparatu w nocy w celu sprawdzenia odległości świateł. Na wojnie i na okrętach stanie się taki aparat niezbędnie potrzebnym.

M.



Jak ma rolnik budować?

Jeżeli rolnik chce prowadzić gospodarstwo racyonalnie w całem znaczeniu tego słowa, tj. jeżeli chce z gospodarstwa osiągnąć największe i najtrwalsze zyski, to nie powinien się zadowolić gruntowną znajomością uprawy roli, hodowli bydła itp., ale nadto powinien umieć budować tanio, trwale i praktycznie budynki gospodarcze.

Jeżeli chodzi o całkiem nowe urządzenie, to przedewszystkiem trzeba starannie wybrać miejsce na założenie podwórza, aby pod każdym względem oszczędzić na czasie roboty, uwzględnić dobre przechowanie zboża itd., zdrowie robotników, bydła itp. Budynki gospodarcze powinny się o ile możności znajdować w środku pola, ale ani na zbytecznej wyżynie, ani zbyt nizko. Główną rzeczą jest założenie studni o dobrej; zdrowej wodzie — ta kwestya rozstrzyga położenie budynków.

Lepiej jeszcze, jeżeli w blizkości zabudowań znajduje się woda płynąca, której można użyć do pędzenia maszyn itp. Nie zapominać też o dobrych drogach komunikacyjnych, szosach i kolejach, blizkość ich bowiem zabudowań gospodarczych, niezmiernie jest ważną.

Podwórze musi być obszerne, tak, aby jedno drugiemu nie zawadzało. Pomiędzy dołami z nawozem i pomiędzy temi a chlewami muszą być drogi na 4—6 metr. szerokie. Kształt podwórza jest zwykle kwadratowym, podwórze zaś samo powinno być zamknięte częścią budynkami, częścią murem lub płotem, zaopatrzonym w dostateczną ilość bram i furtek.

Dom mieszkalny musi być tak położonym, aby właściciel, zierżawca lub rządzca mógł wygodnie widzieć całe podwórze, mianowicie bramy stodół, śpichlerza, obory, stajni itd. Że zapasy kartofli i ćwikły, siana i słomy muszą być albo blizko obór albo w nich samych, że śpichlerze stać muszą blizko stodół, stajnie zaś blizko szopy lub remizy do wozów i sprzętów rolniczych, o tem pewnie mówić nie potrzeba, bo to aż nadto jasne.

Co do przechowania zboża oraz innych produktów polnych, to główną zwrócić należy uwagę na urządzenie stogów, a raczej ich pokrycia, które są zrobione już to z słomy lub trzciny, już to z smołowego płótna czyli papy. Te ostatnie mianowicie wchodzą w coraz większy użytek, zastępują drogie stodoły, koszta transportowania zboża zmiejszają, i zboże, dostatecznie osłonięte lepiej może wysychać. Takie dachy z papy są głównie w tych okolicach niezbędne, gdzie trzeba jak najśpieszniej zbierać plony z pola.

Stodoła składa się, jak wiadomo, z dwóch części, z miejsca, w którem się zboże przechowuje i z klepiska. Chodzi jednak o to, jakie klepisko jest praktyczniejsze, poprzeczne czy podłużne.

Co do tego, to zdania bardzo są podzielone, więc też trudno radzić. Wjeżdzanie i wyjeżdżanie wozów jest wygodniejsze na klepisku podłużnem, natomiast zboże schnie lepiej, jeżeli klepiska są poprzeczne. Stodoła powinna być położoną tak wysoko, aby woda gruntowa nie mogła dosięgnąć posadzki, i aby woda deszczowa dobry miała ściek.

Na śpichrze i magazyny zboża nadawają się najmniej, jeżeli na to osobnych nie ma budynków, obory, stajnie, chlewy i domy mieszkalne, ponieważ wyziewy z obór i stajen psują zboże, domy mieszkalne zaś nie są dosyć mocno na to zbudowane. Najlepiej więc sypać ziarna na górze t. zw. budynków remizowych, które zaraz powinny być stosownie na ten cel zbudowane i urządzone. Zważać przytem należy na dostateczny przewiew.

Sklepy znajdują się po większej części pod domami mieszkalnemi i gospodarczemi, nigdy jednak nie powinny być pod oborami, stajniami i chlewami. Jeżeli kartofle i t. d. mają się dobrze trzymać, to sklepy muszą być suche i zabezpieczone od zbytecznego zimna i gorąca. Otwory muszą się znajdować tu i owdzie, aby para mogła dostatecznie wychodzić. Wogóle przecież nie można polecać przechowywania kartofli i ćwikły w sklepach, ponieważ na wiosnę zaczynają kiełkować, tracą zawartość cukru i mączki i zaczynają prędko gnić. Lepiej więc przezimować je w kopcach, o ile możności blizko budynków, na nieco wywyższonem miejscu.

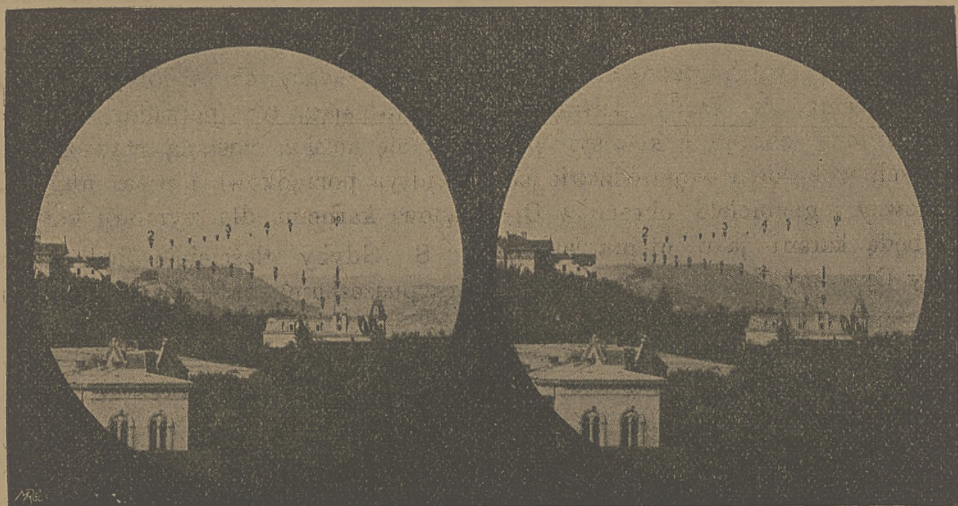
Stajnia powinna się znajdować blizko domu mieszkalnego i być zaopatrzoną w dostateczną ilość okien, ale stać tak, aby promienie słońca i przeciąg nie dochodziły koni, które muszą stać nie uwiązane, w osobnych przegrodach. Posadzka w stajni jest najlepsza kamienna, kamienie winny być płaskie, równie i tak ułożone, aby pomiędzy niemi jak najmniej było szczelin i zagłębień. Zamiast koryt drewnianych użyć żelaznych, emaljowanych. Wygląda to ładnie i czyści się o wiele łatwiej, niż drewniane. Komora do sieczki i półszorków musi być połączoną z stajnią i przez okno z stajni oświeconą. Do komory takiej nie wolno wejść z światłem, chociażby z latarnią pod żadnym warunkiem.

Urządzenie obory może być dwojakiem. Zwierzęta są albo zawsze uwiązane, albo też z wyjątkiemczasu karmienia i dojenia, poruszają się swobodnie. Jakie z tych urządzeń jest lepszem, to już każdy gospodarz sam ocenić musi. Trzeba tylko zważać na to, aby przewiew był dostateczny, aby wygodnie można wywozić mierzwę i czyścić łatwo oborę. Koryta powinny być ruchome, tak, aby stósownie do leżącego nawozu można je umieszczać wyżej lub niżej.

Co do domu mieszkalnego, to każdy buduje naturalnie podług upodobania i stósownie do majątku, jaki posiada. W każdym razie musi dom być suchym, obszernym i mocnym.

D.





Stereoskopowy obrazek z umieszczoną skalą (450 m. do 10000 m.)

Tadeusz Kościuszko.

(Ciąg dalszy.)

Dzieje się to bez wątpienia wbrew życzeniu właścicieli, lecz zdarzają się także wypadki złej woli, albo namowy nieprzyjaciela, który chce tym sposobem ostudzić patryotyczny zapał ludu. Ludzkość wszelako, sprawiedliwość, wzgląd na dobro podają nam łatwe środki udaremnienia tych zbrodniczych knowań. Trzeba oznajmić głośno, że lud wiejski ma zapewnioną opiekę rządu nie teraz dopiero i nie na czas powstania, lecz, że ta opieka jest zapewniona z mocy dawnych ustaw, zatwierdzonych przez naród. Ogłośmy, że każdy uciśniony, ma zapewnioną obronę u komisyi porządkowych w każdem województwie, że prześladowcy i gnębiciele obrońców Ojczyzny będą karani jako nieprzyjaciele i zdrajcy Ojczyzny...“



Bitwa pod Racławicami. 4. 4. 1794. r.

Uniwersał opiewa następnie:

1. Lud wiejski pozostaje z mocy ustawy pod opieką rządu narodowego.

2. Każdemu chłopu przysłuża osobista wolność; może osiąść, gdzie mu się podoba, byle zgłosił swoje postanowienie w komisyi porządkowej, oraz popłacił długi i należytości.

3. Dnie robocizny reguluje się i redukuje następnie: sześć dni tygodniowo na cztery; pięć na trzy; trzy na dwa; dwa na jeden; jeden na jeden w dwóch tygodniach.

4. Władze miejscowe będą czuwać nad całością majątku żołnierzy, oraz, żeby ziemia, źródło naszego bogactwa, nie leżała nigdzie odłogiem. Współdziałać będą w tym celu właściciele i chłopi.

5. Powołani do pospolitego ruszenia są na czas służby wojennej wolni od wszelkiej robocizny.

6. Żadnemu właścicielowi nie wolno odebrać chłopu ziemi, którą posiada, jeżeli obowiązki przynależne dopełnia, według porządku powyżej wyszczególnionego.

7. Rządzcy, ekonomowie, urzędnicy przekraczający ten porządek, dopuszczający się ucisku, zostaną stawieni przed komisyą porządkową i przez nią oddani sądowi karnemu dla wymiaru kary.

8. Gdyby właściciele (boli mnie to przypuszczenie) nakazywali lub dopuszczali się ucisku, oddani będą trybunałom pod oskarżeniem czynów skierowanych na szkodę świętej sprawy narodowego powstania.

9. Lud wiejski nawzajem obowiązany jest dopełniać powinności, słuchać ustaw, nie zaniedbywać gospodarstwa. Interes Ojczyzny skłonił nas do zmniejszenia ciężarów ludu, a właściciele przystali na to ze względu na dobro publiczne. Ziemie właścicieli nie mogą zostać nieuprawione, lud wiejski jest obowiązany wynajmować im swoją pracę za właściwą zapłatą.

10. Dla utrzymania porządku w całym kraju, oraz dla wykonania tego uniwersału komisye porządkowe podzielą każde województwo na małe okręgi.

11. W każdym okręgu będzie mianowany prawy i zdolny komisarz nadzorczy, który odbierać będzie zażalenia tak włościan jak i właścicieli, będzie rozjemcą sporów; apelacya zaś będzie otwartą do komisyi porządkowych.

12. Komisarze każą aresztować wszelakich włóczęgów, burzycieli, podjudzaczy i będą ich odsyłać do trybunału karnego.

13. Duchowni, jako najbliżsi nauczyciele ludu, będą go pouczać o obowiązkach względem Ojczyzny, zachęcać do uprawy ziemi własnej i pańskiej, gdyż ta praca jest także służbą dla Ojczyzny.

14. Duchowni obu obrządków będą ogłaszać ten uniwersał z ambon przez cztery tygodnie. Tożsamo czynić będą po gminach wysłannicy komisyi porządkowych i objaśniać, że zmiany, które powstanie zaprowadza, mają na celu pomyślność włościan, którzy winni są za to wdzięczność Rzeczypospolitej i obronę...

Streszczone tu artykuły tego generalnego uniwersału, przekonują, że cała działalność Kościuszki była narodową, do właściwych stosunków przymierzoną, że nie przejawia się w niej zgoła żadne naśladownictwo przewrotów francuskich, ani nawet powstania amerykańskiego. Wieje z uniwersału idealizm, ale przyjmuje on kształt skromnych, praktycznych, umiarkowanych przepisów; nie ma w nich śladu doktryneryzmu, ani skrajności. Rozporządza Kościuszko tylko to, co właśnie jest niezbędnem, żeby powstaniu zapewnić powodzenie, a co zgodnem jest z duchem ustawy 3-go maja. Naród szlachecki nie dorósł jeszcze wówczas cały do tego, co było zbawiennem, koniecznem, a nie groziło żadnym przewrotem. To pierwsze prawdziwie narodowe powstanie nie zyskało jeszcze powszechnego poparcia, — tak samo jak i ustawa 3-go maja tylko przez najlepszych, wbrew ciemnym, słabym i złym wywalczoną była. Ale z tego braku poparcia nie pada żaden cień na mądrość i prawość Kościuszki. Ten szlachcic litewski nie był regimentarzem szlachty, ale naczelnikiem całego narodu; był to nowoczesny Europejczyk, zabarwiony amerykańskim: pierwotnym republikanizmem, ale nie był to zgoła rewolucyonista na modłę kosmopolityczną.

I wszystkie inne akta stwierdzają tę rolę Kościuszki. W odezwie do Wołynian z dnia 5-go września 1794, stawiając im za przykład powstanie Wielkopolan, które jako dywersya zmusiło Prusaków do odstąpienia od Warszawy — powiada Kościuszko: „...Nie wstrzymała Wielkopolan od działania różność wiary i wyznania. Oboje to nie przeskadza do kochania Ojczyzny i wolności. Niech każdy szanuje Boga według wiary swojej, bo niemasz takiej, którąby człowiekowi być wolnym zabraniała. Ta prawda połączyła Wielkopolanów; to samo i wy czyńcie. Zostawcie w pokoju ludzi różne od was mających wyznanie; bo dlaczegóżby głos ich nie miał mieć miejsca w tym wspólnym hymnów koncercie, który ziemia śpiewa Panu!“

(Ciąg dalszy nastąpi).



Jan Kasprowicz.

Szkic literacki.

Napisała **Róża Erzepkowa.**

(Ciąg dalszy).

Zstępując w Ciemnosmreczyńskich skał zwaliska opiewa poeta w czterech sonetach, których tytuł całemu tomowi temu nadany został, „Krzak dzikiej róży w Ciemnych Smreczynach“, by następnie zakląć w przepiękne, pełne prześlicznych personifikacyi wszelakich i wogóle figur retorycznych, strofy „Ciszę wieczorną“, co

„Rozmiłowana, roztęskniona
Hen! od wieczornej idzie zorzy
Zamykać Tatry w swe ramiona.

Przed nią zawiewa oddech boży:
Wonie jedliczne i świerkowe
Ze swych lesistych wstają łoży.

A ona tuli jasną głowę
Do Osobistej, by wraz potem
Kłaść ją na piersi Giewontowe.

Po reglach muśnie li przelotem
Czoło Świnniczne w żar rozpali
I Hawrań zleje krwawem złotem.

Tak mknąc po szczycie i po hali
Z ogniem tęsknicy ginie w dali...“

Inny ton brzmi w „Tańcu zbójnickim.“ Ten sam temat opiewa jeden z utworów Tetmajera. Treść w obu prawie ta sama — lecz u Kasprowicza forma inna. U Tetmajera mamy same równe dwuwiersze, co tok czyni bardzo jednostajnym, u Kasprowicza co krok inny rytm — zmienia się co moment w wierszu ilość zgłosek, co znakomicie przyczynia się do urozmaicenia i sprawia, że wiersze większym brzmią ogniem i tem samem odpowiadają lepiej treści. Z jakim — iście zbójnickim — animuszem nawołują się „chłopcy“ do „tańca:“

„Hej-że, chłopcy, hej!
Z wirchów, bal i kniej!
Poza buczki, poza haść,
Pójdziem, chłopcy, zbijać, kraść,
Pójdziem w orli szlak! Hej!
Posiejemy strach! Hej!
Zatrwoży się Lach,
Liptak skrzydła stuli,
Jak trafion od kuli,
Ścierwożerczy ptak.
Zagrzmim jak siklawy,
Spadniem do Orawy,
Zaszumim jak las,
Peszt usłyszy nas!
Hej, nie żoruj, matko miła,
Kiedyś po to nas zrodziła,
Ażeby za nami
Grzmiano strzelbiczkami!
Hej! nie lutuj, ojcze nasz,
Że nas, synów po to masz,
Ażeby za nami
Szumiano szablami!
. . . .
Poza buczki, poza haść,
Hej-że, chłopcy, zbijać, kraść!
Wirszyczkami,
Turniczkami,
Zielonymi upłazami! Hej!
Sam Janosik nas powiedzie
Z pałaszem na przedzie!
Wirszyczkami,
Turniczkami,
Za orłami,
Kozicami,
Od krzaka do krzaka,
Z buczaka na pniaka:
Z niejednego pana
Zrobimy żebraka!
. . . .

„Mirjamowi z szczerą przyjaźnią“ święci poeta cykl „Nad przepaściami.“ W strofach tych poeta, znajdujący się „nad przepaściami“ wśród gór, zapuszcza wzrok w przepaści różnych zagadnień i zagadek bytu — kilka z nich czerpie treść z motywów wedyckich. Z lirycznych utworów, zawartych w „Krzaku dzikiej róży“ najwięcej do serca przemawiają ostatnie „Akordy jesienne.“ Dużo w nich goryczy, wylewanej w niezmiernie silnych zwrotach. Główne motywy dwa — westchnienia za snem młodości i obrona pieśni.

Lecz choć „wiatr w pożółkłych huczy drzewach“ poeta nie narzeka, że „barwną swą koronę“ pośród zimnych traci burz, boć

„...naturze, matce wielkiej,
zaciągniętym spłacił dług —
I jam z pola wszak nie schodził,
jak leniwiec albo tchórz!
. . . .
Szalej wichrze! zrywaj liście!
mieć śnieżycą! dżdżami pluj:
Siecz po skroni! włos rozwiewaj!
aż do ziemi krzyże gnij!
Płaszcz potargaj na łachmany,
Z rąk podróżny wytrąć kij!

Mogę stanąć, jak wylękły,
mogę jęknąć na ten znój,
Mogę skrzepłą krwią rozpaczy
O niebieski rzucić skłon,
Lecz tej dumy mi nie wydrze
twój szalony, wichrze, goń!

(Dokończenie nastąpi.)



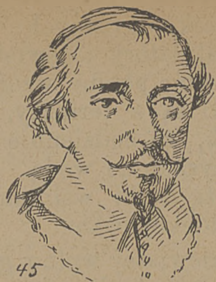
Arcybiskupi Gnieźnieńscy i Prymasi.

(Ciąg dalszy.)



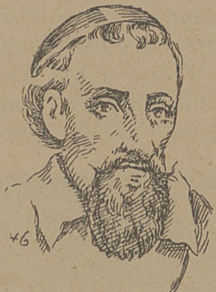
44. JAN VI ŁASKI,

potomek Korabitów, w r. 1503 kanclerz wielki koronny, urodzony w r. 1456 został Arcybiskupem gnieźnieńskim roku 1510. Umarł w Kaliszu roku 1531, pochowany w Gnieźnie. Sekretarzem był królów Kaźmirza, Olbrachta i Aleksandra. Koronował Barbarę Zapolską 8 lutego r. 1512, na soborze lateraneńskim był mówcą polskim i znakomicie bronił praw Polski przeciw Krzyżakom. On to wyrobił dla siebie i następców tytuł „legatus natus“ w r. 1515. Od niego to datuje się ów sławny statut Łaskiego; żył lat 75 i około 2 miesięcy.



45. MACIEJ I DRZEWICKI,

herbu Ciołek, urodzony r. 1466 w Drzewicy, syn Jakóba kasztelana żarnowskiego, sekretarz tajny króla Jana Olbrachta, r. 1511 kanclerz wielki koronny, został Arcybiskupem gnieźnieńskim roku 1531. Umarł w Łowiczu r. 1533, pochowany w Gnieźnie.



46. ANDRZEJ II KRZYCKI,

herbu Kotwicz, rodził się w Krzycku w r. 1483. Został Arcybiskupem gnieźnieńskim w r. 1535, następnego roku objął dyecezyą. Umarł r. 1537, pochowany w Gnieźnie. Kształcił się w akademii krakowskiej i został doktorem filozofii i magistrem nauk wyzwolonych. Udał się potem dla dalszej nauki do Paryża i Bononii, gdzie został doktorem obojga praw. Zostawszy proboszczem św. Floryana w Krakowie, pozyskał względy królowej Bony i był prawą jej ręką. Pisał bardzo wiele, ale po łacinie i to wierszem. Poezye jego były dowcipne, ale i uszczypliwe; Syrokomla kilka z nich na język polski przetłómaczył. Żył zaledwie 54 lat.



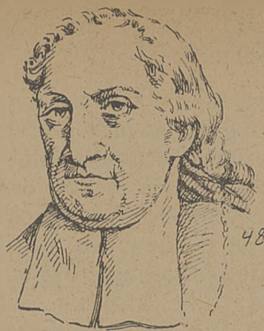
47. JAN VII LATALSKI,

herbu Prawdzic, urodzony w r. 1463 w Wielkopolsce, kanclerz królowej Elżbiety Rakuszanki, został Arcybiskupem gnieźnieńskim w r. 1537. Umarł w Skierniewicach roku 1540, pochowany w Gnieźnie. Pisał się hrabią z Łabiszyna, w Gnieźnie przy katedrze zbudował sobie kaplicę, w której go pochowano.

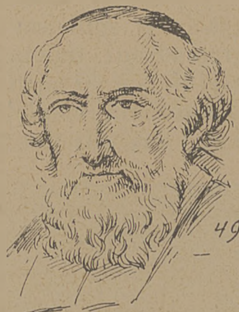
48. PIOTR GAMRAT,

z rodu Sulimów, w r. 1540 Arcybiskup gnieźnieński, miał oprócz tego biskupstwo krakowskie za pozwoleniem papiezkiem. Umarł w Krakowie r. 1545 i tam pochowany.

Znana to bardzo postać w dziejach Polski i od niego to wzięło początek swój rozpowszechnione dość przysłowie. Człowiek wielkiej rozrzutności, ale równocześnie i szczodrobliwości. Wielki opiekun uczonych, zajął się losem kronikarza naszego Kromera i dopomagał mu w zawodzie duchownym. Na synodzie piotrkowskim kazał płacić duchownym podatki na reformę akademii krakow-



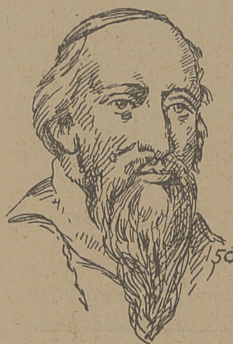
skiej, którą nazywał matką. Uczeni dedykowali mu swoje dzieła. W r. 1543 koronował Elżbietę Rakuzką, żonę Zygmunta Augusta w Krakowie. Biskupem był gorliwym.



49. MIKOŁAJ III DZIERZGOWSKI,

herbu Jastrzębiec, syn Pomścibora z Dzierzgowa, kasztelana Ciechanowskiego, objął dyecezyą gnieźnieńską w r. 1546; umarł w Łowiczu w r. 1559, pochowany w Gnieźnie.

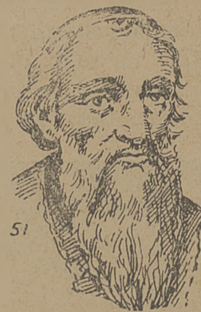
Za Wojciecha z Brudzewa został w r. 1485 profesorem akademii krakowskiej. Później poświęcił się stanowi duchownemu i był za Gamrata kanonikiem krakowskim. Za protekcyą Gamrata został najpierw Biskupem chełmskim, a wreszcie w r. 1544 kujawskim. W dwa lata później został Arcybiskupem gnieźnieńskim. Miał bliskie stosunki z królową Boną. Walczył mężnie z wkradającą się już szeroko do kraju reformacyą i pierwszy powziął myśl sprowadzenia do Polski zakonu Jezuitów, ale nie zdążył zamiaru tego przywieść do skutku.



50. JAN VIII PRZERĘBSKI,

herbu Nowina, syn Jana Przerębskiego, kasztelana sieradzkiego, objął dyecezyą gnieźnieńską w r. 1559, umarł w r. 1562, pochowany w Łowiczu.

Odebrawszy już w kraju staranne wychowanie, udał się w r. 1541 do Padwy, gdzie kształcił się wspólnie z znakomitymi mężami, jak Myskowskim, Padniewskim i Janickim. Wróciwszy do Polski bawił najprzód przy Biskupie i kanclerzu Samuelu Maciejowskim i poufałym był jego przyjacielem. Przez niego też dostał się w łaski u króla Zygmunta Starego. W r. 1547 został kanonikiem krakowskim, a po śmierci Zygmunta Starego mianowany został posłem koronnym do Zygmunta Augusta, który na tron wstępował. Tym sposobem wszedł od razu w bliższe stosunki z młodym królem i po śmierci Biskupa Samuela Maciejowskiego, został administratorem krakowskiej dyecezyi. W r. 1550 został proboszczem katedralnym poznańskim, a następnie sekretarzem wielkim koronnym i odtąd nieodstępnym był towarzyszem króla i odbywał z nim podróże do Gdańska, Królewca i Wilna. W r. 1553 mógł zostać Biskupem poznańskim, ale prosił króla za Czarnkowskim, który też otrzymał to biskupstwo. On to wraz z Zebrzydowskim Biskupem krakowskim stawiali aż do ostatka energiczny opór wyjazdowi Bony za granicę, wiedząc, że wywiezie z sobą wielkie skarby, co też istotnie nastąpiło przy uległości króla dla matki. Był to bardzo światły i uczony książę Kościoła i wspierał hojnie nauki i ludzi uczonych.



51. JAKÓB IV UCHAŃSKI,

herbu Radwan, sekretarz i zawiadowca dóbr królowej Bony, został Arcybiskupem gnieźnieńskim w r. 1562. Umarł w Łowiczu w r. 1581 i tam pochowany.

Wychowywał się na dworze Jędrzeja Tęczyńskiego, kasztelana krakowskiego, gdzie wychowywał się także i Rej z Nagłowic. — Kasztelan poznał jego zdolności i polecił go księdzu Sebastyanowi Branickiemu, który był podówczas referendarzem koronnym. Po śmierci Tęczyńskiego przeszedł na dwór Bony i załatwiał wszystkie jej sprawy. W r. 1536 był prokuratorem króla Zygmunta Augusta w sprawie z Radziwiłłami o rozgraniczenie dóbr rajgrodzkich. W r. 1538 został kanonikiem krakowskim i referendarzem koronnym duchownym, który to urząd piastował lat dwanaście. W r. 1550 został Biskupem chełmskim. Skłaniał on się nieco do teoryi swego wieku i naginał się do reformy kościoła i hierarchii, skutkiem czego Rzym przez dwa lata nie dawał mu potwierdzenia na biskupstwo. To też gdy w r. 1557 został mianowanym przez króla Biskupem kujawskim, Papież Paweł IV nie chciał go potwierdzić i dopiero Pius V dał mu sankcyą na to biskupstwo. Zaraz też niedługo potem, bo w r. 1562 został Arcybiskupem gnieźnieńskim, na którem to stanowisku marzył o zaprowadzeniu reformy w kościele polskim i zostaniu ostatecznie Papieżem polskim. Żądał nawet zwołania soboru narodowego, czemu oparły się gorliwe zabiegi Hozyusza i Commendoniego. Później nawrócił się i myślał znowu o sprowadzeniu do kraju zakonu Jezuitów dla poskromienia reformacyi. Po ucieczce Henryka Walezyusza, którego koronował Uchański w Krakowie r. 1574, na elekcyi ogłosił królem polskim Maksymiliana, podczas gdy silniejsze stronnictwo Zamoyskiego chciało królewny Anny i Stefana. Batory się utrzymał i natychmiast koronował go też Biskup kujawski Karnkowski. Pierwszy to raz w Polsce Prymas usuniętym był od koronowania króla. Uchański przeprosił potem króla. Popadł nagle w bezwładność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W berlińskiem „Przytulisku dla bezdomnych".

Być bezdomnym w Berlinie, w owem wielkiem, hałaśliwem mieście, bez grosza pieniędzy, bez ochrony przeciw zimnie, znosić deszcz, śnieg i wicher, błąkać się samotnie w nocy, bez celu, być głodnym i spragnionym i szukać daremnie odpowiedzi na dręczące pytanie: „gdzież złożę zmęczoną głowę na spoczynek, gdzie znajdę kawałek chleba, aby nabrać nowych sił na dalszą walkę z życiem?" Czyż może być coś smutniejszego?

Serce ściska się bolem na widok tych nieszczęśliwych, którzy z wyrazem rozpaczy na zsiniałych twarzach, przerażeni własną nędzą, uciekają z jasnych, ludnych ulic, nie dających im nic z zbytku i bogactwa, jakie na nich panują.

Zwróćmy się do odleglejszej części Berlina, na północ, tam, gdzie we dnie tysiące ludzi pracuje w fabrykach. Zmierzch wcześnie zapadł, szare, zimowe niebo grozi śnieżną zawieją i przeraźliwy wicher wschodni zrywa przechodzącym kapelusze z głowy. W świetle niespokojnie migocących latarni widzimy niewyraźnie leżący przed nami gmach z czerwonego kamienia zbudowany, zaopatrzony ogromnym kominem i długiemi pobocznemi budynkami. Gmach ten, to cel mnóstwa mężczyzn, wszelkiego wieku — idą oni z najrozmaitszych stron, jedni biegną szybko, inni wloką się powoli, a większa część ubrana nędznie, w podartych lub połatanych surdutach. Biedni drżą z zimna, ale na widok domu rozjaśniają się ich twarze — wszakże za chwilę znajdą się pod dachem i będą mogli rozgrzać skostniałe członki.

Nieszczęśliwi ci ludzie nie mają w mieście żadnego innego schronienia, są więc niezmiernie zadowoleni, że Przytulisko, założone i utrzymywane przez prawdziwych dobroczyńców ludzkości, daje im nocleg, co też jest w zimie mianowicie najważniejszem.

Zbiorowa sala, 300 metr. kw. obszerna, oświetlana z góry światłem elektrycznem, ogrzewana parą i zaopatrzona w wentylatory, może pomieścić 700 osób, to jest tyle, ile Przytulisko ma łóżek. Nikogo tu nie pytają o nazwisko lub pochodzenie, nikt nie potrzebuje zdawać rachunku z powodów, dla których szuka tutaj schronienia: kto jest bezdomny i nieszczęśliwy, ten znajduje tu upragniony spoczynek i jest miłym gościem. Ale nietylko nocleg mają biedni za darmo. Obok sali zbiorowej są jeszcze dwie inne sale, jedna urządzona do mycia, druga do kąpania, i ci, którzy chcą, mogą się myć lub kąpać. W mniejszych oddziałach idą zgromadzeni tudotąd. W sali pierwszej znajduje się 60 miednic i przyrządy do napuszczania ciepłej i zimnej wody, w drugiej zaś sali jest 20 wanien i 56 kąpieli strumieniowych. Wszystko lśni porządkiem i czystością, a służba i urzędnicy Przytuliska starają się o to, aby kąpanie i mycie odbywało się prędko i dokładnie. Osoby, kąpiące się, zdejmują w przeznaczonym na to pokoju ubrania, które podlegają desinfekcyi i otrzymują je potem znowu w innym pokoju. Jakiem dobrodziejstwem jest kąpiel dla biednych, którzy przez cały dzień błądzą po ulicach, szukając daremnie pracy!

Po kąpieli, orzeźwieni na ciele i duszy, idą wszyscy do sali jadalnej, w której znajduje się 300 krzeseł. Z sąsiedniej kuchni, gdzie kotły do gotowania zawierają: 1 kocioł 400 litr. zupy, 1 k. 200 litr. kawy, 1 k. 50 litr. mleka i t. p., przynoszą teraz potrawy (dobrą pożywną zupę, chleb i t. p.) i każdy otrzymuje zupełnie wystarczającą porcyę jadła. Tutaj mogą też goście sporządzić swoje ubranie, potrzebny do tego materyał dostają także za darmo. W końcu przechodzą do sal sypialnych, których jest 40 po 50 łóżek, ogrzanych i zaopatrzonych w wentylatory i oświetlenie elektryczne. I tutaj panuje wzorowy porządek, posadzki są z terrazzy, ściany cementowe, tak, że codziennie mogą być zlewane i czyszczone wodą. Na łóżkach żelaznych leżą derki wełniane, jak najczęściej desinfekcyowane.

Aż do dziewiątej wolno gościom rozmawiać, potem jednak muszą się udawać na spoczynek. Z uderzeniem kwandransu na jedenastą gaśnie światło, ale wielu śpi już oddawna, nie czekając dziewiątej; inni może nie usną wcale, zajęci myślami o lepszej przeszłości...

O siódmej rano (latem o szóstej) wstawają wszyscy, myją się, dostawają kawy i chleba, przeglądają rozmaite oferty robót i w mniejszych oddziałach opuszczają Przytulisko. Walka o byt rozpoczyna się na nowo i niejeden może znajdzie jakie zajęcie, większa część pewnie jednak wraca z tą samą beznadziejną rozpaczą wieczorem do — Przytuliska.



W „Przytulisku dla bezdomnych" w Berlinie. Sala zbiorowa w przytulisku dla mężczyzn.

Uzupełnieniem Przytuliska dla mężczyzn na Wiesenstrasse jest Przytulisko dla kobiet na Füselierstrasse, urządzone zupełnie tak samo, tylko w mniejszych rozmiarach. Tutaj nie uwydatnia się tak bardzo ponura strona wielkiego miasta. Najpierw nie ma tu nigdy takiego napływu gości, jak w przytuliskach dla mężczyzn, a powtóre znoszą kobiety lżej przeciwności losu i szukają więcej pociechy w wzajemnem wynurzeniu swych trosk i dodawają sobie nawzajem odwagi. Zwiedzenie tego domu pozostawia też o wiele przyjemniejsze wrażenie, niż zwiedzenie Przytuliska dla mężczyzn.

Obydwa domy zawdzięczają swe założenie i utrzymywanie berlińskiemu Towarzystwu dla bezdomnych, które istnieje od przeszło już trzydziestu lat. Gustaw Thölde, stary, ale zawsze jeszcze czynny dyrektor Przytulisk był pierwszym, który w r. 1868 podał myśl zajęcia się opu-

szczonymi i nieszczęśliwymi. Już w r. 1869 otworzono Przytulisko dla kobiet i dziewcząt, a zaraz potem założono taki sam dom dla mężczyzn. Dobre serca Berlińczyków okazały się z najlepszej rzeczywiście strony, zaledwie bowiem poznano, jakie dobrodziejstwo wyświadcza się temi zakładami biednym, gdy hojne datki popłynęły ze wszystkich stron i to tak obficie, że na wiosnę w r. 1873 otworzono już na Büschingstr. Przytulisko dla mężczyzn. Ale w miarę wzrastania liczby mieszkańców Berlina wzrastała też i liczba nieszczęśliwych i biednych i setki szukających schronienia zgłaszało się codziennie do gościnnych drzwi Przytuliska. Niestety, trzeba było połowie odmawiać noclegu, ale liczne podarunki i zapisy pieniężne, oraz dobrowolne składki ułatwiły zadanie szlachetnych inicyatorów do tego stopnia, że przed trzema laty zbudowano gmach tak wielki i praktycznie urządzony, jak żadne miasto w świecie nie posiada równego.



W „Przytulisku dla bezdomnych" w Berlinie. Sala zbiorowa dla kobiet.

Jeszcze jeden taki zakład posiada Berlin na żwirówce Prenzlawskiej (Prenzlauer Chausseé). I tutaj otrzymują biedni schronienie na noc, ale nie wszyscy lubią tu przychodzić, bo mogą się spotkać z policyantami, którym do prywatnego Przytuliska wstęp jest wzbronionym. Zakład miejski przyjmuje także całe rodziny na pewien z góry wyznaczony czas.

Jak wielkiem dobrodziejstwem są owe Przytuliska, tego najlepszym dowodem są liczby nieszczęśliwych, szukających tamże schronienia. W przeszłym roku było 250,000 gości, od początku zaś istnienia zakładów było ich już 3,570,000. Ile nędzy i biedy przedstawiają te liczby z jednej strony, o tyle z drugiej dawają nam pojęcie o dobroci i litości ludzkiej, bo te miliony osób otrzymały bez zapłaty od nieznanych sobie dobroczyńców nocleg i pożywienie.

Nigdzie się też miłość bliźniego nie objawia w tak idealny sposób, jak właśnie tutaj, w niesieniu wsparcia i pomocy najbiedniejszym z biednych. Miłość bliźniego, to najwznioślejsza zasada, jaką się kierują założyciele i dobroczyńcy Przytuliska. *M. P.*



Na miasteczku.

I

Na Miasteczku już dzwonek dzwoni,
Wstają do modlitw wielcy, mali,
A dźwięk srebrzysty z echem leci,
Tam gdzieś na Warty ginąc fali.

Na tratwach flisy szepcą pacierz,
Do modrych niebios wznosząc oczy,
I fala z szmerem modlitewnym
W srebrnych się pianach cicho toczy.

A na Miasteczku dzwonek dzwoni,
Jakby skowronek na błękicie,
On śmiertelnikom, zwykłym światu,
Jak Boży zegar mierzy życie.

Aż kiedyś jęknie nad mogiłą,
Po trudach, żalach i rozterce —
Tyle serc ludzkich z bólu pęka,
Jemu nie pęknie nigdy serce.

II.

I Poznań stroji się jak panna,
W słoneczne blaski przyodziana,
Zieleń go wiosny zdobi świeża,
Tęczami kwiecia przetykana.

Tatarak pachnie w każdym domu
Nad miastem płyną rzeźwe wonie...
Na Starem Mieście piękne dziewczę
Bada pogodę na balkonie.

Stroi się majster kunsztu cnego,
Pani majstrowa czepiec kładnie,
Zaś terminator koszyk bierze,
Gdzie butla kimlu leży na dnie...

Pustka się czyni na ulicach
I spokój, dawniej tu nieznany,
Więc Poznań berło swoje składa,
A lud opuszcza miasta bramy.

III.

Pod starym dębem dziaduś siwy
O dawno zbiegłych latach gwarzy
I młody zapał lśni ogniście
Na pomarszczonej wiekiem twarzy.

Słucha z podziwem konsolacya
O uroczystej owej gali,
O pięknych damach w koczobrykach
Z ustkami z kalin i korali.

Młodzieńcy pędzą na anglezach,
Barwiste fraki lśnią jak maki,
Wąsik do góry, mina chwacka —
Umykaj z drogi jaki taki!

Gwarzy pod dębem dziaduś siwy:
„Hej, coraz gorsze dzisiaj życie!"
Młoda się parka patrzy w siebie:
Inaczej wróży serc ich bicie!

IV.

Zwolna na ziemię wieczór schodzi,
Wieczór uroczy, księżycowy,
Hen na zamiejskiej słychać drodze
Wesołe śmiechy i rozmowy.

Wraca do miasta tłum ochoczy,
Za rok tu znowu wszyscy wrócą,
Prócz tych co spoczną pod mogiłą,
Prócz tych co łez dolinę rzucą.

A na Miasteczku szumią drzewa,
Swą pieśń odwieczną szemrzą zcicha,
Ponad kościołkiem dobrotliwie
Srebrzysty księżyc się uśmiecha. *Or-ot.*



Dział kobiecy.



1. Pas de marche ordinaire.



2. Petit battement en dehors.



3. Petit battement en dedans.

Nowy taniec, Menuet-walec.

Jak wszystko w świecie, tak i tańce podlegają modzie, i zmieniają się stósownie do wymagań tej potężnej władczyni. Jeżeli przez długie lata zaniedbywano taniec, to powodem tego była głównie jednostronność zwykłych tańcy, bo o jakiejś zajmującej rozmaitości w naszych tańcach wirowych nie ma przecież mowy. Ciągle te same zwroty znudziły się ostatecznie ludziom, dawniejsze, stare tańce straciły zwolna wszelki urok, a nowych nie było wcale.

Jeżeli jednak obecnie budzi taniec większe zajęcie, to zawdzięczać to należy w pierwszej linii poważnym staraniom metrów tańca, w drugiej zaś tak zwanym „tańcom składowym". Publiczność okazała się od razu bardzo na nie łaskawą, niektóre zaś są też tak ładne i wdzięczne, że zaprowadzono je z przyjemnością na balach najwyższej arystokracyi.

Jednym z tych obecnie najulubieńszych „złożonych tańcy" jest „menuet-walec". W tańcu tym prowadzi mężczyzna swoją tancerkę trzema zwykłemi krokami (pas de marche ordinaire) naprzód. Oboje wysuwają prawe nogi na bok, przysuwają je zaraz znowu i powtarzają to dwa razy (petits battements). Potem następują trzy zwyczajne kroki oraz petits battements lewą nogą. Tancerz i tancerka zamieniają teraz miejsca, przyczem mężczyzna przechodzi za damą (croisez). Dama zwraca się na lewo, mężczyzna na prawo (pirouette), potem znowu croisez i pirouette, mężczyzna na lewo, dama na prawo. Następnie podawają sobie prawą rękę, mężczyzna obraca tancerkę na lewo (tournez la dame), oboje składają sobie ukłon (na prawo) i tańczą 16 taktów walca.

W ten sposób można ładny ten taniec powtarzać tyle razy, ile kto chce, zakończyć go zaś należy głębokim ukłonem momentowym (révérence). *Oska.*





4. Pirouette.



5. Tournez la dame.



6. Révérence.



CZĘŚĆ DRUGA.

KRWAWY CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

Partyzanci.

(Ciąg dalszy.)

Dowódca ten był człowiekiem młodym jeszcze, trzydziestokilkoletnim zaledwie, który się wykształcił w sztuce wojskowej teoretycznie a praktykę odbył w tej samej szkole co wykształciła na żołnierza Franka Harasia, ale po stronie przeciwnej — służbie tureckiej. Na wieść o wybuchu powstania w Polsce, porzucił korzystne stanowisko w armi sułtana i oddał się pod rozkazy Rządu narodowego, oświadczając, że pragnie przyjąwszy obyczajem dowódców partyzanckich jaki pseudonym, naprzykład „Klina“, wbijać się będzio klinem w boki kolumn moskiewskich i tym sposobem, o ile będzie w jego mocy, do tryumfu sprawy narodowej przyczynić się.

Ofiara rozumie się przyjętą została z otwartemi rękami, i w kilka dni po przybyciu do Warszawy, obywatel Klin, zaopatrzony dokładną marszrutą, pełnomocnictwami i pieniędzmi, wysłany został w Kamienieckie, gdzie w sposób powyżej opisany objął kierunek ruchawki, która jużby i bez niego wybuchnąć była musiała.

Pierwsze jego wystąpienie w tej nowej roli uwieńczone zostało zwycięztwem, łatwem, prostem, koniecznem, nieuniknionem, ale mimo to niezmiernie korzystnem, bo zagrzewającem ducha, podnoszącem wiarę i zapał we wszystkich podkomendnych i wogóle ludności, wzbudzającem zaufanie we własne siły. Dlatego też każdy dowódca sił nowozaciężnych powinien być szczęśliwym, jeżeli mu się uda bodaj taką tylko pierwszą potyczką swoje działania rozpocząć.

Obywatel Klin rozumiał dobrze, że mu się pod tym względem powiodło bardzo szczęśliwie i postanowił to pierwsze miniaturowe zwycięztwo jak najlepiej na korzyść sprawy ogólnej wyzyskać.

Zaledwie zatem Józef odebrał najwyższą nagrodę, o jakiej mógł marzyć za swoje odznaczenie się, to jest zaledwie zbliżyła się do niego Konstancya i uścisnąwszy jego rękę, rzekła: „dziękuję panu, panie Józefie“, nowy dowódca zajął się rozporządzeniami, mającemi na celu, ażeby powstanie zaraz rankiem jak największe siły zbrojne miało pod swemi chorągwiami.

— Czasu do stracenia nie mamy — rzekł do Stanisława — daruj kolego, że przed odebraniem od ciebie sprawozdań i całej służby zajmuję moje stanowisko. Trzeba rozesłać natychmiast zawiadomienie do wszystkich punktów zbornych tutejszej organizacyi, że wybuch nastąpił, że dziś jeszcze o ile to bez utarczki z Moskalami być może, ze wszystkich stron ochotnicy mają nadciągnąć do Gradowiec dla ostatecznej organizacyi oddziału, który dziś wieczorem pod mojem dowództwem wyrusza w pole, że pierwsze zwycięztwo odniesione, że Gradowce oczyszczone z nieprzyjaciela. Czy jest w mieście stacya telegraficzna?

— Nie ma.

— Poszlę zająć i nie dozwolić wyprawiania żadnych doniesień do władz moskiewskich.

— To już zrobione — odezwał się jeden z obecnych.

— Jednem słowem zarządzić wszystko, aby Moskale o tem co tu zaszło jak najpóźniej zostali zawiadomieni. O godzinie wpół do dziesiątej rano nabożeństwo w kościele, po nabożeństwie uroczyste ogłoszenie Rządu narodowego i jego manifestów na rynku.

Po wydaniu tych i tym podobnych rozporządzeń dowódca polecił partyzantom, żeby się rozeszli na swoje stanowiska.

Ochotnicy w milczeniu zabierali się do wykonania rozkazu, zatrzymał się jednak jeden z nich i zbliżając się do naczelnika rzekł:

— Panie naczelniku, a cóż będzie z tamtym?

— Z kim?

— Pytający, jeden z najbarczystszych i najmuskularniejszych robotników w garbarni, zamiast odpowiedzieć na to pytanie, przystąpił do stołu, schylił się, przez chwilę poszukał ręką i wyciągnął na środek pokoju Rafała Fajskiego stawiając go od razu na równe nogi.

— Z tym — rzekł.

Zbytecznom byłoby dodawać, że świętoszek już nie drżał jak liść, ale dygotał tak okropnie, że aż litość brała nań patrzeć.

— Cóż to za jeden?

— Szpieg.

Głuche milczenie nastąpiło po tym wyrazie, na który w czasach wojennych jak echo zwykł odpowiadać wyraz „śmierć!“

Robotnik puścił kołnierz pobożnego człowieka, pod którym, gdy go pozostawiono własnym siłom, nogi się ugięły i ukląkł.

Ukląkł a usta jego szeptały coś, jakby modlitwę.

Najmniejszego echa tego szeptu nikt nie mógł słyszeć, widac było jedynie poruszające się usta.

Nie przerywano mu zupełnie tej domniemanej modlitwy.

Podczas niej Rafał Fajski uspakajał się i odzyskiwał siły Dygotanie zamieniło się w drżenie, drzenie w spokój.

Gdy się zupełnie uspokoił powstał.

Powstawszy podniósł oczy, spojrzał na człowieka, który go wyciągnął z pod stołu i który go nazwał szpiegiem. W spojrzeniu tem nie było nienawiści, był tylko wyrzut łagodny.

— „Szpieg“ powiedziałeś grzeszny człowiecze — rzekł niech się Bóg zlituje nad duszą twoją, boć surowy on i straszny w sądach swoich dla tych, co mówią na bliźniego „raka“, ja ci przebaczam, i jedynie tylko, niechcąc grzechem kłamstwa obciążać duszy mojej, która jeżeli mnie nie wysłuchacie, wkrótce stanąć może przed sądem Bożym, zaprzeczam ci, grzeszny człowieku. „Szpieg“ jestem, powiedziałeś, a w paszporcie moim stoi napisano, że zostaję pod ścisłym nadzorem policyi. „Szpieg“ jestem, powiedziałeś, ale jest w Kamieńcu ojciec Nikazy, który zna wszystkie tajnie mego sumienia i który dał mi zlecenia do przełożonego tutejszego klasztoru jako człowiekowi zaufanemu i pewnemu, a patryocie. „Szpieg“ jestem, powiedziałeś, a jest w Rozdrożu karczmarz żyd, który, jeśli ma w sercu Boga Adrahama, Izaaka i Jakuba, i jeżeli mu przysiądz na torę rozkażecie, to zaświadczy, że ze mnie najspokojniejszego człowieka w jego karczmie przemocą wzięto, aresztowano i gwałtem tu przewieziono. Nie, człowiecze grzeszny, tyś w błędzie, ja szpieg nie jestem. Bóg mnie natchnął myślą ocalenia siebie i was, i gdy mnie tu przyprowadzono udawałem sługę Moskali, jak Judyta w obozie pogańskiego wodza udawała jego kochankę. Szło mi o to, aby przedłużyła się rewizya, aby wam zostawić czas do uzbrojenia się i wyzwolenia zarówno mnie, który już byłem jeńcem tyranów, jak i tego szlachetnego męża, który nim wkrótce miał zostać. Nie mogąc się tego doczekać, wymyślałem najróżniejsze sposoby, chciałem tylko zwłoki, niczego więcej. Dla zwłoki, dla dania wam czasu, żądałem nawet, żeby tego szlachetnego męża skuto w kajdany, a wiedziałem, że jesteście przygotowani, wiedziałem, że wam łatwo oswobodzić nas, że macie środki potemu, bo przecież kilka dni spędziłem tu w Gradowcach, a ojciec Fulgencyusz nie miał przedemną tajemnic. Oto jest moje zeznanie, które czynię w obliczu śmierci. Nic niemam do niego dodać, ani ująć. Umęczcie mnie, będę was błogosławił, i ofiaruję krew moją za odkupienie grzechów moich i za pomyślność sprawy naszego narodu. A chcecie to mnie uwolnicie. Przetrząsnąwszy szaty moje nie znajdziecie nic takiego, coby świadczyło przeciw mnie, a gdybyście znaleźli, to mnie upieczcie na wolnym ogniu, niech konając czuję przesmak tych płomieni piekielnych, na które zasłużyłem na wieki wieków, jeślim się zaprzał mojego narodu i na zgubę jego przysiągł z wrogami!

Powiedziawszy te słowa głosem wolnym, silnym i pewnym Rafał Fajski zamilkł. Wrażenie jego przemowy było niespodziewanie silne, oczywistem było, że jeżeli natchnienie nie przyszło mu z nieba, to się musiał nauczyć prawienia mówek obrończych przed kratami sądowemi broniąc rzezimieszków i oszustów. Jeżeli nie był adwokatem to był przynaj-

mniej ex-jurystą, a co większa był mistrzem w panowaniu nad sobą. Okazał tyle siły i przytomności, jakby tu nie o jego gardło chodziło, przeciwnikom swym i oskarżycielom zamknął chwilowo usta przeciw oczywistości, przywiódł tyle i tak świetnych pozorów, że tę oczywistość zaćmiły.

Ważono sobie w myśli jego słowa, których w uroczystem wysłuchano milczeniu.

Milczenie to przerwał pierwszy ów garbarz, do którego cała ta tyrada była zwróconą.

— A czemuś to bratku chował się pod stół — rzekł do niego drwiąco — kiedyś taki czysty i biały?

Rafał Fajski spojrzał na niego. Tym razem przy pilniejszej uwadze możnaby było w jego spojrzeniu dostrzedz cokolwiek gniewu.

— Na każdem miejscu, rzekł trochę drżącym głosem, wielbić można Pana, nie ma więc niegodnego miejsca. Chowałem się rzecz naturalna, Moskale widząc się zgubionymi, mogli byli wpaść na myśl, że ja ich zdradziłem, a i wy, bracia, w pierwszej chwili moglibyście się dać złudzić i potępić mnie dla pozorów.

Robotnik wzruszł ramionami.

— Cięta bestya w języku, rzekł niechętnie, zjadłby licha, ktoby się z nim dogadał. Ale to się wszystko okaże. Pan naczelnik każe go zrewidować.

— Nie — odpowiedział Klin stanowczo.

Słowo to wywołało trochę zdziwienia. Nowy dowódca może po chwili żałował, że je powiedział, ale cofnąć go nie chciał, wolał je raczej uzasadnić.

— Na cóżby się przydała moja rewizya? Człowiek ten miał przy sobie kompromitujące dowody, albo ich nie miał, jeżeli nie miał to ich nie znajdziemy, a jeżeli miał, to miał także dosyć czasu tam pod stołem, i dosyć rozumu, żeby je zniszczyć.

— Więc cóż z nim zrobimy? Na gałąź bez rewizyi?

Dowódca spojrzał groźnie na mówiącego.

— Sama propozycya wyroku bez sądu — rzekł stanowczym i dostateczną energię charakteryzującym głosem, jest już godną kary, i tylko ten raz jeden ją przebaczam. Złożymy sąd. W obec tłomaczenia oskarżonego jeden jest tylko człowiek, który go może stanowczo uniewinić lub potępić, a tym jest pan porucznik.

To mówiąc nowy dowódca zwrócił się do oficera żandarmów, którego udarował wolnością, a który dotąd jeszcze był niemym świadkiem tej sceny.

— Mylisz się pan, odrzekł oficer, ja tutaj właśnie jestem jedynym człowiekiem, który go ani uniewinić, ani potępić nie może. Nie wolnoby mi było, bez narażenia się na największą odpowiedzialność przed moim rządem, oskarżać nikogo przed panami o sprzyjanie memu rządowi, a więc mi i bronić nikogo przed takim zarzutem nie wolno.

— Rozumiem pana, odpowiedział Klin, i dlatego, dla braku dowodów dostatecznych do złożenia sądu, uwalniam oskarżonego, zabraniając mu wszakże opuszczać miasto przez dni trzy.

Porucznik moskiewski z lekka wzruszył ramionami.

W kilka chwil potem, wychodząc z domu Stanisława, Józef spotkał się z Frankiem Harasiem i zagadnięty przez niego, opowiedział mu co zaszło.

— I cóż pan myślisz o tym naszym dowódcy, panie Józefie? zapytał Franek wysłuchawszy.

— Co myślę? sprawa nasza najlepiej stoi! to jest wielki człowiek! to jest bohater!

— Tak, tak, pomruknął Haraś, tak, tak!

— A pan co myślisz, panie Franciszku?

— Et, co ja myślę, ja nic nie myślę robię co każą... ale gdyby mi wolno było myśleć...

— To cóżbyś pan myślał?

— Ba! co ma być niech będzie... powiem, myślałbym, że sprawa nasza stoi źle, bo nasz nowy dowódca jest za miękki... baba!

Ostatni wyraz wysłużony żołnierz wymówił tak cicho, że go już nie słyszał wnuk Mortka.

IX.

Dyplomatyczne plany pana Artura dojrzewały nadzwyczaj szybko i zupełnie po jego myśli.

Kwit z opłaconego podatku i rewizye odbyte w Łaszczyńcach zużytkowane zostały jak najstaranniej według pierwotnie ułożonego i przez marszałka aprobowanego projektu. Podróż ojca a następnie syna do Kamieńca już się odbyła. Wiemy czego się dowiedział gubernator i co wskutek tego rozporządził. Wojewódzki naczelnik organizacyi dowiedział się także różnych rzeczy od byłego kamerjunkra, o tajemnicach jakoby przez gubernatora wygadanych przed jego ojcem, i dowiedział się oraz, że były kamerjunkier jest jeszcze w posiadaniu tajemnic, które tylko najwyższym kierownikom powstania powierzone być mogą.

Wiadomości te zrobiły na nim spodziewane wrażenie. Sam zaproponował panu Arturowi to, co pan Artur jemu zamierzał proponować.

— Wypadałoby zatem — rzekł — żebyś pan jak najprędzej pojechał do Warszawy.

— Uczynię to z największą chęcią — odpowiedział ex-kamerjunkier — nie będę szczędził kosztów ani fatygi, ani narażenia się osobistego, bo przyznasz pan, że podróżować tak daleko w tych czasach, jest niemałem narażeniem się osobistem, tylko...

— Tylko co?

— Gdzież się obrócę przyjechawszy do stolicy?

— Oh! to rzecz najłatwiejsza — odpowiedział wojewoda powstańczy — dam panu zaraz kartkę, która wszystko ułatwi.

Poszedł do biurka i napisał szybko kilka wyrazów, które oddał byłemu kamerjunkrowi.

— Kartki tej nie potrzebujesz się pan obawiać, możesz ją mieć przy sobie w podróży w pugilaresie zupełnie jawnie. Jest to najniewinniejsza recepta na katar, napisana przez doktora, którego nazwisko jest tak nieczytelne, że gdyby pana zapytano kto ją pisał, możesz śmiało powiedzieć pierwsze lepsze nazwisko praktykującego lekarza, jakie ci się na myśl nasunie. Wiadomo, że doktorzy bazgrzą zwykle jak kury, ten podpis do każdego jest podobny, a przytem nikt nie będzie tak podejrzliwy, żeby się w tej recepcie mógł czegoś szczególnego domyślać. W każdej aptece wydanoby za tą karteczką lekarstwo panu i każdemu ktoby z nią przyszedł. Jeżeli jednak pójdziesz pan z tą receptą w Warszawie do apteki na Nowym świecie, w bliskości ulicy Świętokrzyskiej i powiesz że to „dla pana Witolda“, to się pana spytają, gdzie pan mieszkasz i przyrzekną lekartwo odesłać do domu. Pójdziesz pan zatem do hotelu i będziesz czekał, a tam już zgłosi się do pana ktoś taki co pana dalej skomunikuje.

— Któż jest ten „pan Witold“ — zapytał były kamerjunkier — zapewne naczelnik Rządu narodowego?

— Oh! naczelnik! — uśmiechnął się wojewódzki — nie byłoby to tak ostrożne, przyznasz pan, przedewszystkiem wyjawiac imię naczelnika... Z naczelnikiem Rządu może pan będziesz mówił nie wiedząc kim on jest i kto to jest, jeżeli wogóle z nim mówić będziesz, tak jak mówisz pan ze mną nie wiedząc czy ja niezawodnie jestem tą osobą, której powierzono stanowisko naczelnika wojewódzkiego, czy też tylko z jego polecenia zastępuję go dla pana i nie wiedząc kto rzeczywiście jestem. W działaniu konspiracyjnem takie ostrożności są konieczne, ale dla pana ta rzecz obojętną być powinna i musi. Ja panu, ręczę, że tą drogą wiadomosci, które masz zakomunikować dojdą do rąk właściwych. „Pan Witold“, to jest tylko hasło, to „Sezamie otwórz się“ z Tysiąca nocy. Gdyby istniał jakikolwiek pan Witold, inne imię obranoby za hasło.

Objaśnienia te, jakkolwiek bardzo szczegółowe, niezupełnie zdawały się wystarczać panu Arturowi.

— Mówisz pan — zauważył — że tą drogą cobym ja miał do zakomunikowania dojdzie do Rządu narodowego, zachodzi teraz pytanie, czy ta sama droga jest dostateczną, ażeby to, co Rząd narodowy mógłby mi mieć do zakomunikowania doszło do mnie.

— A! panie — roześmiał się naczelnik — gdyby panu Rząd narodowy miał co zakomunikować, toby do tego nie był potrzebny nawet żaden imaginacyjny pan Witold. Od tego są drogi inne i najzupełniej pewne. W każdym razie jedź pan śmiało, kartka którą panu daję niczem pana skompromitować nie może.

— Sposób to jest zręczny w istocie — rzekł pan Artur — i nienarażający nikogo. Wyznaję, że to jest mistrzowsko urządzone i wszelkie warunki ostrożności zachowane jak najlepiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY.

Następnego dnia znów jasno świeciło słońce. Helenka szyła pilnie, dziwiąc się sama swej zręczności. Ona, która nie umiała trzymać igły, szyła teraz wszystko, co jej kazano. Nauczyła się wprawdzie trochę robót ręcznych w Paryżu, nie przeczuwając wówczas, ile tej umiejętności zawdzięczać będzie.

Nagle weszła Janina do jej pokoju.

— Masz chwilkę czasu dla mnie, pani Moore? — zapytała z uśmiechem.

— Zapewne. Służę pani, — odrzekła Helenka, nie podnosząc oczu. Unikała zawsze starannie wzroku Janiny i stała wobec niej zwykle z spuszczoną głową.

— Chciałabym się z panią rozmówić o rozmaitych rzeczach — zaczęła znowu Janina. — Lord Chesley powziął do ciebie wielkie zaufanie i prosi, abyś na zawsze pozostała w zamku. Obok twych obecnych zajęć musiałabyś jednak przejąć dozór nad Stellą. Nianka jest wprawdzie bardzo uczciwą dziewczyną, ale to nie wystarcza, Stella jest teraz już starszą i potrzebuje staranniejszej opieki.

— Jesteś pani bardzo uprzejmą!

— O warunki ułożysz się z panią Bird. Główna rzecz, abyś kochała małą. To samo już, że biedna nie ma matki powinno jej zjednać twoją miłość!

— O, ja kocham ją bardzo!

— Wiem o tem i dlatego lord Chesley chce ją pani powierzyć! Wszakże będziesz się nią opiekować tak, jak gdyby własnem twojem była dzieckiem!

— Tak, przysięgam na to!

— Odjeżdżam dziś, a rozstanie się z dzieckiem nie będzie mi tak przykrem, ponieważ wiem, że zostawiam je w dobrych rękach.

— Dziękuję pani za okazane mi zaufanie i uczynię co mogę, aby się tego godną okazać — szepnęła Helenka.

Janina zawahała się na chwilę, potem jednak zbliżyła się szybko do Helenki i wsunęła jej banknot w rękę.

— Chciej pani przyjąć to odemnie — rzekła nieśmiało. Helenka spojrzała na nią zdumiona.

— Nie myśl, że chcę kupić twoją miłość dla dziecka — mówiła Janina — chciałam tylko prosić, abyś pani kupiła sobie cośkolwiek bądź, coby ci przypominało naszą rozmowę i twoje przyrzeczenie.

Helenka cofnęła się nieco, potem zaś, ku niezmiernemu zdziwieniu Janiny, przycisnęła banknot do ust i głośnym wybuchła płaczem.

— Czy obraziłam panią? — zapytała Janina zmieszana.

— Wybacz, o wybacz pani — szepnęła Helenka, usiłując zapanować nad sobą — dobroć pani wzruszyła mnie głęboko. Tak dawno nikt mnie nie obdarzył podarunkiem! Dziękuję z całego serca za te pieniądze i przyjmuję je z wdzięcznością!

— Cieszy mnie, że mogłam ci sprawić przyjemność. A teraz żegnam panią, mam dużo jeszcze zajęcia przed wyjazdem!

I podała Helence uprzejmie rękę.

Po jej wyjściu ucałowała Helenka po raz drugi ofiarowany banknot i znowu płakać zaczęła.

— Nie wydam nigdy tych pieniędzy — mówiła w duszy — chociażbym z głodu umierać miała.

I przyszły jej na myśl niezliczone dowody miłości i przyjaźni Janiny, która zawsze najserdeczniejszą otaczała ją opieką. Wszakże dniem i nocą czuwała przy jej łóżku, gdy była chorą i z zaparciem się samej siebie oddała jej to, co miała najdroższego na świecie — to jest, narzeczonego!

Wieczorem tego dnia kazał lord Chesley przywołać panią Bird do swego pokoju. Oznajmił jej o swych zaręczynach z Janiną i prosił, aby i nadal pełniła obowiązki gospodyni zamku. Potem wyraził życzenie zatrzymania pani Moore, której chciał powierzyć dziecko na cały czas swej nieobecności, po ślubie bowiem wybierał się z żoną w kilkomiesięczną podróż.

Gospodyni, wielce uradowana z takiego obrotu rzeczy, poszła natychmiast do Helenki i opowiedziała jej o wszystkiem.

— Ale nie powiadaj pani tego innym — dodała. — Myślę, że ślub odbędzie się wkrótce.

— Kiedy? — szepnęła Helenka zbielałemi ustami.

— Nie wiem, ale długo czekać nie będą. Potem wyjadą za granicę. Czego się pani dziwisz? Czy to nie jest naturalnem, że taki młody, przystojny, bogaty pan żeni się po raz drugi?

— O nie, ale tak prędko.....

— No, półtora roku minęło, a to dosyć długo! Cieszę się z jego wyboru, bo jestem pewną, że wszyscy w zamku kochają teraz już nową lady Chesley.

Helenka zadrżała.

— Myślisz pani — rzekła cicho — że lord Chesley myśli jeszcze czasem o swej pierwszej żonie?

— Bóg wie, ale ja sądzę, że nie zapomniał o niej. Widzę go często stojącego przed jej portretem, jest to więc dowodem, że myśli o niej. Co do mnie, to wolałabym, aby nie była umarła, bo jak słyszałam, miała być bardzo dobrą.

Helenka westchnęła smutnie, z tem wszystkiem pocieszało ją to jedno, że nikt nie wątpił o miłości Artura dla jego zmarłej żony.

Lord Chesley siedział w bibliotece, przy stole zarzuconym książkami i gazetami. Ale on ich nie czytał, myśląc jedynie o swojem szczęściu. Po kilku latach nareszcie wolno mu było wyciągnąć rękę po swój skarb najdroższy, którego, jak sądził, musiał się już wyrzec na zawsze. Potem zwróciły się myśli jego ku Helence.

Dziwna rzecz, że przychodziła mu zwykle na pamięć w dniach pogodnych i jasnych — ale wszakże i ona była takim świetlanym promykiem słońca i zdawała się być stworzoną jedynie do uśmiechu i szczęścia. I z głębokiem wzruszeniem wspomniał jej wielką miłość, żałując serdecznie jej przedwczesnego zgonu.

— Nie wiem — rzekł sobie w duszy — czem zasłużyłem na miłość dwóch takich kobiet, jak Helenka i Janina! Jedna posiada charakter ustalony, dojrzały, szlachetny, druga była ślicznem, rozkosznem dzieckiem. Obiedwie tak odmienne w usposobieniu, a równe sobie w miłości dla mnie!

Potem zajął się już tylko planami przyszłości, marząc jedynie o swem szczęściu i tak się zagłębił w myślach, że nie spostrzegł wcale wejście lady Forbes.

— Przeszkadzam panu? — zawołała, stając nagle przed nim. — Pukałam kilka razy, ale żadnej nie otrzymałam odpowiedzi.

Artur drgnął mimowoli, zerwał się jednak zaraz z krzesła i przysunął jej fotel.

— Jest to dla mnie wielkim zaszczytem — że pani przyszłaś do mnie.

Lady Forbes uśmiechnęła się.

— Słyszałam pewną nowinę — rzekła — która mocno mnie zadziwiła. Podobno chcesz się pan żenić?

Przez chwilę panowało milczenie w pokoju.

— Czy to panią dziwi? — zapytał nareszcie Artur.

— Nie, wszakże mówiłam zawsze, że brak tu pani domu. Ale nazwisko wybranej pana..... Słyszałam, że zaręczyłeś się z miss Burton. Przyznaję, że to właśnie ostatnia, o której byłabym myślała.....

— A jednak tak jest — przerwał krótko. — Kocham ją i szanuję i spodziewam się, że wprowadzę ją tu niedługo, jako panią zamku.

Lady Forbes wstała i podała mu rękę. Była zbyt dobrze wychowaną, aby okazać swoje rozczarowanie i nie chciała się wcale narażać na gniew lorda Chesleya.

— Życzę panu z całego serca szczęścia — rzekła — a przy tej sposobności dziękuję też za gościnność, jaką nam okazałeś. Ale dłużej z niej korzystać nie możemy i chciałybyśmy jutro wyjechać.

— Żałuję bardzo!

— Przyspieszam wyjazd nasz dlatego, że będziesz pan zapewne chciał zmienić niejedno w zamku na przyjęcie żony. Przeszkadzałybyśmy panu więc tylko.

Artur odpowiedział kilku uprzejmemi słowami, ale nie zatrzymywał lady Forbes, która z trudnością zdołała ukryć gniew i oburzenie z powodu doznanej klęski.

Wszelkie jej starania spełzły na niczem, wiedziała zaś aż nadto dobrze, że drugiej takiej partyi nie znajdzie dla Anny. Gdy wyszła z biblioteki, ujrzała córkę bawiącą się w przedsionku z Stellą.

— Pójdź — rzekła szorstko — muszę ci coś powiedzieć.

Anna przerażona dziwnym tonem matki, pobiegła natychmiast za nią i obiedwie udały się do salonu.

— Nie potrzebujesz sobie już zadawać pracy z dzieckiem — szepnęła lady Forbes. — Wszystko się skończyło! On zaręczony z Janiną Burton.

Pomimo, że Anna spodziewała się tej nowiny, to jednak słowa matki padły jak grom na nią.

— Doprawdy! -- jękła — nie mylisz się mamo? Ach to okropne!

— Nie, bo mi to sam powiedział. Odjeżdżamy jutro. Zamek będzie pewnie inaczej urządzony.

-- Tak, urządzano go raz już dla jednej, która nigdy tu nie przyszła — zauważyła Anna szyderczo — może i tym razem stanie się tak samo!

Lady Forbes cofnęła się przestraszona. Była to wielka egoistka, dbająca tylko o siebie i swoje wygody, ale krzywdy nikomu w świecie wyrządzić by nie chciała,

— Anno! — krzyknęła — jak możesz mówić coś podobnego!

— Powtarzam to raz jeszcze. Mam przeczucie, że Janina Burton nigdy tu panią nie będzie!

— Nam to może już być zupełnie obojętnem! Bo jeżeli lord Chesley nie ożeni się z tobą, to mniejsza o to, kto zostanie jego żoną.

W zamku wielka zapanowała radość na wiadomość wyjazdu lady Forbes i jej córki. Panie te nie umiały sobie zjednać miłości i szacunku służby, a głównie gospodyni, to też wszyscy odetchnęli swobodnie, gdy pokojowa zaczęła pakować ich kufry.

— Widać - mówiła pani Bird do Helenki — że milord wkrótce zamierza się ożenić, prędzej nawet, niż sądziłam. Tapicerzy przybędą już w tych dniach. Ale prawda, milord chciałby wiedzieć, czy pani przyjmiesz miejsce bony Stelli -- miałam mu dziś dać stanowczą twoją odpowiedź.

— Tak — rzekła Helenka — przyjmuję. Nie mogę się z dzieckiem rozłączyć.

— Domyślałam się tego — zawołała gospodyni zadowolona. — Więc powiem, że zostajesz i że zgadzasz się na jego warunki.

Helenka zawahała się na chwilę. Czy mogłaby się odważyć na osobistą z nim rozmowę, bez obawy zdradzenia się? Całe jej serce rwało się ku niemu, chciała go zobaczyć, usłyszeć głos jego, zwrócić jego uwagę na siebie, lękała się jednak, aby nie straciła zimnej krwi i panowania nad sobą. Nie, lepiej nie narażać się na takie niebezpieczeństwo!

— Tak, proszę — odrzekła cicho. — Zgadzam się z góry na wszystko i wypełnię sumiennie moje obowiązki.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY.

Była to cicha, gwiaździsta noc letnia. Głęboki spokój panował w ogrodzie zamkowym, żaden listek nie ruszał się, a krople rosy na kwiatach i trawkach błyszczały milionami brylantów w łagodnem świetle księżyca.

Po skończonej pracy wyszła Helenka na przechadzkę, aby tutaj, w ciszy i samotności szukać odpowiedzi na pytanie, jakie sobie nieustannie od kilku dni zadawała, to jest, czy postępowanie jej było słusznem, czy nie.

Bo teraz poznała dopiero dokładnie okropne położenie rzeczy. Przecież Artur nie mógł mieć dwóch żyjących żon, a im więcej o tem myślała, tem więcej dochodziła do przekonania, że byłoby to poprostu zbrodnią!

W rozpaczy swojej nie zastanowiła się dotychczas nad tem, teraz jednak widziała, że to jest zupełnie niemożliwem. Chociaż Artur i Janina byli przekonani o jej śmierci, i nie potrzebowali sobie w danym razie żadnych robić wyrzutów, to grzech pozostawał zawsze grzechem i małżeństwo ich nie powinno być w żaden sposób zawartem. Gdyby naprzykład mieli dzieci i gdyby się przypadkiem tajemnica jej wykryła, to wszyscy przeklinaliby jej pamięć!

Poznała teraz, jak ciężko zawiniła, wracając do Anglii. Gdyby była pozostała w jakiej odległej wiosce we Francyi, nie byłaby się nigdy dowiedziała o powtórnem małżeństwie Artura i byłaba tam zakończyła życie sama i nieznana. Co więc miała teraz uczynić?

— O, jakże byłam zaślepioną! — powtarzała, załamując ręce. — Czemuż wróciłam tu dotąd!

A jednak uniewinniała ją wielka miłość dla dziecka. Chociażby wszelkie inne uczucie wymarło w jej sercu, węzłów łączących matkę z dzieckiem, nic w świecie zerwać nie zdoła. I nie mogła sobie wyrzucać tego, że usłuchała głosu miłości macierzyńskiej, że nie mogła się oprzeć tęsknocie za ukochanem dziecięciem.

Ale potem nowej doznała obawy. Jeżeli zostanie tu nadal, któż jej zapewni, że czy prędzej czy później tajemnica jej nie będzie zdradzoną? Może przecież zachorować i w gorączce wyjawić całą prawdę. Cóż się potem stanie?

Nie, występek pozostawał występkiem. Nie było możliwości łudzenia się, i bądź co bądź, trzeba było zapobiedz małżeństwu Artura i Janiny. Ale w jaki sposób?

Czy miała do Artura napisać i wyznać mu, że żyje? Nie wieleby to pomogło, bo Artur zażądałby dowodów, chciałby ją naturalnie zobaczyć i zmusiłby ją do powrotu do domu. Ona zaś rozłączyła się z nim na zawsze i za żadną cenę nie chciałaby już tego zmienić. Nie byłaby mu mogła wytłumaczyć powodów swego postępowania, swych cierpień i zazdrości — Artur nie zrozumiałby jej dlatego, że jej nie kochał!

Helenka była bezradna. Rodziców nie mogła również o tem uwiadomić, bo oni dosyć już cierpieli z jej przyczyny. Ale Janina! Tak, Janinie powie wszystko! I sama myśl, że tak, jak dawniej wyzna jej swe troski i kłopoty i usłyszy od niej słowo pociechy, byłaby ją zupełnie uspokoiła, gdyby nie obawa, że Janina odpowie jej na to:

— Więc po raz drugi odbierasz mi to, co mam najdroższego na świecie! Czy ofiara, którą raz już uczyniłam dla ciebie, nie była dosyć wielką? Dlaczego odegrałaś tę nędzną komedyą, dlatego, aby mi dać nadzieję szczęścia i aby ją po raz drugi zniszczyć?

Helenka powtarzała sobie po raz setny, że Janina miałaby zupełną słuszność, gdyby jej tak powiedziała, a pomimo to jednak czuła, że inaczej postąpić nie może.

— Pójdę i wyznam prawdę — rzekła stanowczo — a potem umrę może!

Nie wiedziała biedna, że śmierć na zawołanie nie przychodzi.

Nazajutrz nowe zbudziły się w niej wątpliwości. Wszakże Janiny już tu nie było, jeżeli więc chciała ją widzieć, to musiała jechać do Suzwold, a to wydawało jej się niemożliwem. Czyż mogła pokazać się rodzicom i znieść widok ich rozpaczy, bez wymówienia słowa pociechy? Mogłaż spokojnie odwiedzić swój dom rodzinny, pełen wspomnień młodości i szczęścia?

Ale wahania te zakończyła nadspodziewanie prędko pani Bird, rozkazem, aby przygotowano pokój dla tapicerów.

— Ślub milorda ma się odbyć za cztery tygodnie — a więc trzeba natychmiast rozpocząć pracę. Rzemieślnicy przybędą jutro.

Helenka nie miała zatem ani chwili do stracenia i prosiła gospodyni o kilka dni zwolnienia, w celu odwiedzenia swojej przyjaciółki.

Pani Bird uśmiechnęła się życzliwie.

— Jedź pani — rzekła. — Cieszę się, że masz przyjaciółkę, że nie jesteś tak zupełnie sama na świecie. Ja sądziłam, nie nie posiadasz ani krewnych, ani znajomych.

A więc i ta trudność była usuniętą i Helenka zaraz nazajutrz wybrała się w drogę. Pożegnanie z Stellą było jej nad wyraz bolesnem, a myśl ujrzenia rodziców, ciężyła jej kamieniem na sercu. Ale teraz nie mogła się już cofnąć — jeżeli chciała zamiar swój wypełnić, to musiała się spieszyć.

Postanowiła jechać koleją do Walden, a ztamtąd iść pieszo do Suzwold. Im więcej zbliżała się do swego domu rodzinnego, tem większym żalem ściskało się jej serce. Wszakże znała tu każdy kamień, każde drzewo, a wszystko zdawało się witać ją, jak gdyby z dalekiej podróży wracała do domu. Dawniej, gdy z rodzicami przybywała na dworzec, pozdrawiali ją urzędnicy nizkiemi ukłonami, dziś, nikt nie zważał na młodą, skromnie ubraną kobietę, a jakiś posługacz odpowiedział jej nawet szorstko, gdy się do niego z jakiemś zapytaniem zwróciła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Hymn Sądu.

Co za trwoga na świat siądzie,
Kiedy na ostatnim sądzie
Boży Syn
Sądzić będzie myśl i czyn.

Głazy pękną, groby runą,
A zapłonie straszną łuną
Świata trup,
Jak ognisty jeden słup.

Płomieniami ryknie morze,
Lądy, góry, skały zmoże,
I jak wąż
Wić się rycząc będzie wciąż.

A Pan powie: „Na prawicy
„Waleczni, męczennicy,
„Dla was tron,
„Wierzyliście!“ Sądzi On!

A Pan powie: „Na lewicy
„Zbójce, zdrajce, sprzedawczycy,
„Dla was zgon,
„Zbrodniliście!“ Sądzi On!

Co za trwoga na świat siądzie,
Kiedy na ostatnim sądzie
Boży Syn
Już osądzi myśl i czyn!

L. Jabłonowski.



„Bez serca“.

OBRAZEK.

Przed głównem wejściem do sanatoryum dla chorych nerwowych we Lwowie, zatrzymał się elegancki ekwipaż, zaprzężony w jednego, ale pięknego, rasowego konia. Wysiadła zeń pospiesznie młoda dama w strojnej letniej toalecie. Twarz jej, jakkolwiek blada — była piękną. Lokaj zeskoczył z kozła i zadzwonił. Gdy szwajcar drzwi otworzył, dama kazała zaanonsować o swem przybyciu głównemu lekarzowi. Wkrótce ten się ukazał; szare, mądre jego oczy z nieukrywanem zdziwieniem spoglądały z pod okularów na ładną nieznajomą.

· Czy mogłabym zobaczyć przebywającego w pańskim zakładzie Ryszarda Błońskiego? zapytała.

Głos jej dźwięczał spokojem i pewnością siebie. Tylko dłoń delikatna, ściskająca rączkę eleganckiej parasolki, drżała lekko.

— Jestem na jej rozkazy — odparł doktór, chory w obecnej chwili spaceruje po ogrodzie.

Dążąc przez troskliwie utrzymywane aleje ogrodu, nieznajoma rozpytywała doktora o stan zdrowia pacyenta.

— Czy mam być z panią zupełnie szczerym? Pani pewno jest jego krewną lub narzeczoną?...

— Nie, panie, nie jestem ani krewną jego ani narzeczoną. Ale proszę — niech pan nic nie ukrywa przedemną. Znam pana Błońskiego oddawna i mam bardzo dużo współczucia dla jego niedoli.

— W takim razie, muszę pani oświadczyć, że niema najmniejszej nadziei, aby chory mógł być wyleczonym. W obecnym zaś stanie, może żyć lata całe. Cierpi on na tę głęboką, cichą melancholię, która rzadko kiedy ustępuje przed najenergiczniejszemi nawet środkami lekarzy. Po całych dniach siedzi on nieruchomo, bez śladu cierpienia, bez ruchu, jak skamieniały. Dotąd nie zdołałem zauważyć choćby chwilowej zmiany na lepsze. Szkoda! Taki młody i, jak mi mówiono — bardzo zdolny! Szkoda, — wielka szkoda.

— Wiele rzeczy w życiu trzeba żałować — zauważyła dama.

Dziwnie zabrzmiały w jej uszach te wyrazy.

Doktór mimowolnie podniósł na nią swe oczy. Brwi jej były ściągnięte, co nadawało jej twarzy wyraz ponury, nieprzyjemny — który jednak ustąpił wkrótce bardziej pogodnemu.

Właśnie doszli do ławki ukrytej w półkolu krzewów śród barwnych i pachnących kwiatów. Na ławce siedział, w towarzystwie dozorcy, młody mężczyzna; na twarzy jego osiadł wyraz tęsknoty, a oczy patrzyły naprzód, utkwione bezmyślnie w jeden punkt.

Dama, rzuciwszy okiem na chorego, zwróciła się do doktora z prośbą, aby pozwolił jej pozostać sam na sam z obłąkanym.

— Nic nie mam przeciwko temu — odparł uprzejmie lekarz — wątpię jednak, czy się to przyda na co. Raczy pani zauważyć, że on jej nawet nie dostrzegł. W każdym razie jestem posłuszny jej życzeniu.

Dał znak dozorcy i oddalił się z nim.

Nieznajoma podeszła spiesznie do chorego, który cały czas pozostawał nieruchomy i zawołała półgłosem:

— Ryszardzie!

Usłyszawszy swoje imię, chory podniósł głowę, spojrzał na nią i znowu pogrążył się w niemej kontemplacyi.

— Więc doktór mówił prawdę — tu już nic pomódz nie może, — szeptała, z żalem.

Wzrok jej spoczywał na chorym. W tych rysach nieregularnych, czole typowem, ciemnych oczach, w których ongi płonęły ognie miłości i zapału — obecnie nie można się było dopatrzeć cienia życia. Twarz jej, spokojna dotąd — zmieniła się nagle: kąciki ust drgać poczęły nerwowo, oczy napełniły się łzami. Energicznie stłumiła je, nim zdołały stoczyć się po licach. Wpół smutnie, wpół pogardliwie uśmiechnęła się... W duszy jej budzić się poczęły obrazy przeszłości.

Obraz pierwszy, jasny, opromieniony aureolą jej pierwszej miłości. Jest szesnastoletnią wesołą dziewczyną z złotym zwojem warkoczy, z jarzącemi się szczęściem oczyma. Tuli się do piersi mężczyzny - - do piersi tego, który obecnie nieprzytomny, martwy prawie, siedzi przed nią. Tego dnia on wyznał jej swoją miłość. Działo się to w głuchym, romantycznym parku poza miastem. Nad wierzchołkami stuletnich dębów, i buków świeciło błękitne, wiosenne niebo, uśmiechało się majowe złote słonko. Ptactwo gwarzyło wesoło, tłum barwnych motyli uwijał się śród kwiatów.

Wiosna w naturze i wiosna w sercach dwojga młodych, którzy tonęli w pieszczocie i pocałunkach. On miał na sobie wtedy pyszny mundur ułański! Jak dumnem było zeń jej szesnastoletnie serce! Jak ona go kochała!

On także ją kochał, lecz nie sercem jedynie, jak to umieją kobiety, lecz z całą namiętnością mężczyzny. Miłość mężczyzny zawsze ma podkład egoistyczny, który dziś lub jutro ujawnić się musi.

Dalej nastąpił w jej duszy obraz drugi — rażący kontrast z pierwszym.

Było to w tym samym parku — po dwóch latach. Była jesień, ptaki dawno już umilkły. Szare, powleczone chmurami niebo zawisło nad ogołoconymi z liści konarami drzew. W ich sercach też już umarła wiosna. Okazało się, że jej położenie nie pozwalało wyjść zamąż za oficera, egoizm jego nie pozwalał mu jąć się innej pracy, gdyż całą duszą był oddany służbie wojskowej. Marzenie o związku nierozerwalnym było tylko marzeniem i rozstanie nastąpić musiało. Z czysto męzką logiką starał się on jej to wytłomaczyć.

— Musisz się pogodzić z losem mój skarbie. Los jest od nas silniejszy. Do śmierci wdzięczny ci będę za każdą chwilę, z tobą spędzoną. Nigdy o tobie nie zapomnę!

Wolnemi od łez oczyma patrzyła na niego: nie pojmowała prawie, co mówił. Ale młoda, namiętna natura buntować się zaczęła.

— Co się ze mną stanie — bez ciebie? — szepnęła — umrę, lub stoczę się w przepaść...

On odpowiedział tylko na jej ostatnie wyrazy.

— Dziecko jesteś. Nie powinnaś tak mówić. Mam nadzieję, że uchroni cię od tego i wychowanie, jakie odebrałaś i przykład, jaki miałaś w twej szanownej rodzinie. Jak mogłaś nawet powiedzieć coś podobnego.

Czemu on nie powiedział: „Myśl o mnie!“ Nie rzucił jej nawet tej marnej pociechy. Gorycz jakaś poczęła się w niej burzyć. Nie mówiąc nic, starała się zwolnić swe ręce z jego dłoni. Wtedy on ją zatrzymał, a głos jego zadrżał z lekka:

— Dziecię! Skarbie mój! Bądźże rozsądną. Bądź dobrą i nie czyń rozstania jeszcze przykrzejszem. Głowę do góry! droga moja!

Bez serca!

Po co on to powiedział? Możeby się to wszystko inaczej stało, gdyby nie rzucił jej w chwili rozpaczy tego zimnego morału? Co zrobiły te słowa? Jak one zraniły jej serce, przygnębiły jej uczucie! „Głowę do góry!“ On cię nigdy nie kochał — szeptało jej coś do ucha — dlaczego jest obojętnym? co się z tobą stanie? Wyrwawszy się z rąk jego gwałtownym ruchem, uciekła bez pożegnania.

Obraz trzeci. Znowu minęło lat kilka. Skorzystała z jego rady, lecz inaczej niż on myślał. Z głową dumnie wzniesioną, z brylantami na łabędziej szyi — znajduje się w gronie artystek i bogatych panów. Najznakomitszy z pośród nich, hrabia M. siedzi obok niej.

Wkrótce po rozstaniu z ukochanym,

uciekła z domu rodziców i została aktorką. Jej chęci marnowania życia, aby jak najprędzej osiągnąć zapomnienie — odpowiadał wrodzony talent dramatyczny. Z początku próbowała sił swoich na scenach prowincyonalnych — wreszcie została zaangażowana do Lwowa. Chwalono jej talent, a jednocześnie upadano na twarz przed jej cudną pięknością. Wkrótce zrozumiała, iż gaża nie wystarczy na wszystkie jej potrzeby, które wzrastają ze zdumiewającą szybkością. O teraz ona ma zdrowy sąd o rzeczach. Niewinność jest delikatnym kwiatem, który nie znosi gorącego wichru. Kwiecie jej duszy zwarzył ognisty samum. Bogaty wielbiciel złożył u jej stóp prócz serca, cały swój majątek.

Gdy wzrok jej padł na jego twarz zniszczoną — stawała jej w pamięci twarz inna z wyrazem żalu i wyrzutu, ale wnet w uszach jej dźwięczały wyrazy: „głowę do góry!“ i wielkie, szlachetne porywy gasły.

Wreszcie czwarty obraz. Znajduje się ona znowu pośród wesołego towarzystwa. Szaleje najbardziej ze wszystkich. Miała sen straszny, chce się upić, zapomnieć. Do sali, gdzie ucztowali artyści z przyjaciołmi, wszedł gość spóźniony. Był to młody, czarnooki ułan. Szedł lekko pochylony, obok wesołego towarzystwa. Wtem wzrok jego padł na nią, która w tej chwili wsparła swą zmęczoną głowę na ramieniu bogatego wielbiciela. Oczy ich się spotkały. Ręka jego spadła na rękojeść szabli, lecz w tym samym momencie odwrócił się i wyszedł. Ktoś zawołał:

— Błoński!

Lecz on nie słyszał i poszedł dalej.

Ona zbladła śmiertelnie, odepchnęła silnie swego sąsiada i zawołała.

— Dosyć! Zmęczona jestem i chcę być w domu. Hrabio — każ zawołać powóz.

Małe intermezzo zostało zauważonem, lecz nikt, obawiając się jej gniewu, nie wspomniał o tem.

Był to ostatni obraz, jaki powstał w jej umyśle w chwili, gdy go po raz pierwszy od tego czasu tutaj ujrzała. Wewnętrzny głos mówił jej, że jego obłąkanie jest w związku z tem spotkaniem. Więc on ją kochał, pomimo wszystkiego. Gdy ją ujrzał w objęciach innego — zrozumiał, jaki siew rzucił w jej duszę podczas rozstania. Wszak to on doprowadził ją do tego stanu, w jakim obecnie się znajduje; nędzarka, ostatnia nędzarka, pomimo całego przepychu, jaki ją otacza.

W chwili, gdy ona pomyślała tak, patrząc na chorego, ten wyszeptał:

— Maryo!...

Zbliżyła się do niego.

— Jestem tutaj — rzekła, a mimowoli zapewne głos jej brzmiał sucho — nie poznajesz mnie?

— Nie — nie poznawał jej! Pokiwał głową i mruczał niecierpliwie:

— Tyś nie Marya, to nie jest głos Maryi...

Z bocznej alei ukazał się doktór w towarzystwie dozorcy.

— Wszystko nadaremnie. Pan Błoński nawet na chwilę nie powraca do przytomności — zwróciła się do lekarza. Chociaż nazywa mnie po imieniu, lecz nie poznaje.

Lekarz, jakby sobie coś przypominając zapytał:

— Przepraszam panią, czy pani nie Marya na imię?

— Tak, jestem Marya W., artystka teatru miejscowego — odrzekła.

— Pani daruje — rzadko bywam w teatrze, ale nazwisko pani czytuję w gazetach, a imię słyszę codziennie z ust mego pacyenta.

Znać było, że lekarz mówiąc to coś kombinował. I gdy ona zapytała go o przyczynę obłąkania Ryszarda Błońskiego, pomyślał sobie: jakże jednak jest dużo kobiet bez serca!

— Niestety — i ja nic o tem nie wiem. Podobno prowadził życie hulaszcze, przytem gra tu rolę nerwowość dziedziczna.

Marya zawróciła się ku wyjściu, lekarz odprowadził ją do samego powozu, do którego wsiadła i odjechała.

Zamyśliła się, przybita doznanemi wrażeniami, ale w tej chwili podniosła głowę. Łza błyszczała na jej długich rzęsach, ale twarz miała już wyraz napoły gorzki, napoły pogardliwy:

— Precz z litością! Precz z żalem! Bez serca... *Stanisław Jelita.*



Przechadzki po wystawie.

Stroną pouczającą każdej wystawy jest to, że ona wykazuje nam i braki i zalety tej gałęzi, której wystawa jest poświęcona, dalej pokazuje nam, czy gałąź jaka się rozwija, czy jest żywotną i nie martwieje.

Są to ogólne uwagi mogące być zastosowane do każdej wystawy, a więc i do ostatniej wystawy rolniczej Towarzystwa niemieckiego rolniczego.

Rozpatrywałem się we wszystkiem uważnie i sądzę, że okiem znawcy, rozpytywałem się o opinią zwiedzających wystawy i jeden jest tylko głos, że rolnictwo w W. Ks. Poznańskiem zrobiło niezmierne postępy i że gospodarstwa polskie mniejsze i większe dorównują najzupełniej niemieckim, a częstokroć je nawet przewyższają. Szkoda tylko wielka, że wystawców Polaków jest tak mało.

Zrozumiałemi są dla mnie względy, które powstrzymywały wielu — wstręt do obesłania wystawy *niemieckiej* w czasach, w których Niemcy depcą nasze najświętsze uczucia z brutalnością średniowiecznych Krzyżaków, od których policzek po policzku w jasny dzień na publicznych — że tak powiem — drogach bywa polskości wymierzanym — aż nadto jest zrozumiałym, a jednak może byłoby dobrze stawić się liczniej i pokazać światu, że prześladowania naszej siły żywotnej nie złamały, a wzgarda zupełnie nie jest na miejscu.

Dalej o wystawie obecnej na pochwałę urządzających powiedzieć muszę, że wszystko urządzone jest systematycznie, uporządkowane z prawdziwem znawstwem, tak że łatwo oryentować się można.

Po lewej stronie głównej drogi dział maszyn, niezmiernie obficie obesłany przez tutejszych fabrykantów i zamiejscowych. Nie brak oczywiście ani fabryki akcyjnej Cegielskiego, ani Moegelina (właściciel Skrzydlewski), ani Urbanowskiego-Romockiego, ani firm komisowych Twardowskiego i Brylińskiego.

Po za dużą trybuną dla widzów — stajnie, obory, patyki dla trzody i owczarnie. Konie ze znawstwem segregowane na konie ciepło i zimnokrwiste.

Prym tu trzyma stajnia p. *Żychlińskiego z Twardowa*, odznaczona czterema nagrodami — w tem jedna pierwsza. Stajnia ta nie ustępuje w niczem niemieckiej stajni Zitzewitza. Znakomite wystawili konie gospodarze Barczak z Łąkocina — nagroda I. za klacz i uznanie za drugą klacz. Gospodarz T. Dolata z Zacharzewa otrzymał trzy nagrody. Gospodarz St. Kubik z Westrzy jedną nagrodę (III.) również za klacz. Dalej otrzymali nagrodę p. Sypniewski z Czarkowa, za dwie klacze zimnokrwiste, za pociągowe p. dr. Tadeusz Jackowski i za reproduktora pan Kaźmierz Chłapowski z Kopaszewa nagrodę III. Oglądałem konia tego z wielką uwagą — widziałem go po za stajnią i przyznać muszę, że koń to bez wad, — lecz nieco ciężki w chodach, dlatego nie wziął nagrody wyższej.

Żałować wypada, że książę Czartoryski cofnął w ostatniej chwili z wystawy ogiera czystej krwi arabskiego — byłby on najniezawodniej uzyskał nagrodę pierwszą.

Jeszcze okazalej przedstawiają się obory polskich gospodarstw. Doskonałe bydło simenthalskie nadesłała obora z Dobrojewa, Barbary hrabiny Kwileckiej — dalej p. Chełkowski ze Starogrodu, i dr. Trzciński z Gocanówka.

Podpadła nam z obór niemieckich, obora ordynacyi Wonsowa. Jest wśród wystawionej kolekcyi bydła simenthalskiego kilka doskonałych okazów.

W bydle nizinnem wpadają w oczy obory panów Kwileckiego z Oporowa, pana Turno z Słomowa, i obora z Grembanina, pani Maryi hrabiny Krąskiej.

W dalszych przechadzkach powrócimy jeszcze do działu inwentarzy.

Dziś zaznaczymy tylko, że bardzo słabo wypadła wystawa pszczelarska. Uli wystawionych jest tylko kilkanaście, a jedyny p. *Śniegocki* urządził kiosk z przedmiotami tyczącemi się pszczelarstwa.

Również nieobfitą jest wystawa ogrodowa. Jest wprawdzie Denizot ze znakomitemi drzewkami owocowemi, jest Bolesław Anders i Richter, ale przyznać trzeba, że to nie wielu na kilkunastu ogrodników Polaków. Wśród niemieckich wystawców odznaczają się firmy Schulz, Schiller, Pfennig.

Na pochwałę zasługuje dyrekcya, że nie pozwoliła na wystawianie rozmaitych kiosków z widowiskami. Nie jest to pouczające, a wyciąga grosz z kieszeni.

Verus.



✝

Nekrologia.

Ś. p. Konstanty Sczaniecki.

radzca jener. ziemstwa, o którego nagłej śmierci już donosiliśmy, należał do wybitnych postaci w społeczeństwie naszem. Ojciec Zmarłego był pułkownikiem w wojsku polskiem, matka z Mielżyńskich, siostra hr. Leona z Pawłowic, wychowała ś. p. Konstantego i kilkoro jego rodzeństwa wedle myśli Bożej, w bogobojności i pobożności, którą się też Zmarły zawsze odznaczał. Ś. p. Konstanty urodził się w r. 1835. Po ukończeniu nauk gimnazyalnych słuchał medycyny w Austryi. Powróciwszy do kraju, ożenił się z hr. Ponińską, córką ś. p. hrabiego Edwarda z Wrześni i gospodarzył na wsi, w majątku swoim Międzychodzie. Przez kilka kadencyi posłował Zmarły do sejmu pruskiego.



Ś. p. Konstanty Sczaniecki.

Po śmierci ś. p. Raszewskiego został Zmarły radzcą jeneralnym Ziemstwa i na tem stanowisku oddawał społeczeństwu niejedną przysługę, utrzymując przytem o ile to dziś możliwe — pewną harmonią między Niemcami a Polakami.

Wybitną zaletą ś. p. radzcy Sczanieckiego w życiu codziennem była przysłowiowa prawie usłużność i uprzejmość; nigdy nie odmówił on nikomu żadnej usługi obywatelskiej. Ś. p. Konstanty nie wahał się nigdy zadokumentować swej gorliwości, jako katolik, i na każdym kroku manifestował swe uczucia religijne, należąc do różnych bractw kościelnych. Sodalicya poznańska traci w nim jednego z najgorliwszych swych członków. Zmarły otrzymał order komandorski św. Grzegorza, jako zasłużony syn Kościoła św.

I ze strony świeckiej nie poskąpiono mu odznaczeń, otrzymał bowiem order komandorski Franciszka Józefa, jako nagrodę za projekt „landszaftowy“ dla Galicyi, a także jeden z pruskich orderów, jeżli się nie mylimy, order Czerwonego orła. — Ubył naszemu społeczeństwu jeden z ludzi na wskroś dobrych, zacnych i pracowitych, wychowanych w niewzruszonych zasadach religijnych, których ubytek trudno zastąpić. R. i. p.



Ś. p. Teodor Dembiński,

którego nieodżałowanej pamięci poświęciliśmy wspomnienie pośmiertne w numerze 23cim „Pracy“ zajmował bardzo wybitne stanowisko w społeczeństwie naszem jako gorący patryota, dobry Polak i znakomity rolnik.

Zmarły wychował i wykształcił w ciągn swego życia cały szereg dzielnych gospodarzy — agronomów i brał czynny i gorliwy udział w zakładaniu różnych Towarzystw, mianowicie Kółek włościańskich.

Umarł w majątku swym Lubczynie, w powiecie Kempińskim, w Poznańskiem, licząc 66 lat. R. i. p.

Do Czytelników.

Pracujemy dla ludu naszego bezinteresownie, nie szczędząc kosztów i trudu, a gdyby nie serdeczne poparcie, gdyby nie szczera przyjaźń, jaką nas ogół darzy — sił by nam pewnie i środków nie stało, aby w imię Boże rozpoczęte dzieło prowadzić na pożytek drogiej sercom naszym sprawy. Wierni zasadzie, że „Praca“ ma być przyjacielem wszystkich warstw społecznych, idziemy od pałaców do lepianek, godząc waśń domową, zaklinając do *pracy* pod hasłem *zgody*. Któż jednak nam dziś w tych usiłowaniach bardziej dopomódz może, jeśli nie ogół czytelników naszych?

Odzywamy się więc dziś do wszystkich nam życzliwych czytelników z gorącą prośbą o poparcie przez zjednanie nowych czytelników.

„Praca“ jest pismem szczerze katolickiem i narodowem. Jedno spojrzenie łaskawie rzucone na łamy pisma naszego wystarczy, aby rozpoznać, co jest celem „Pracy“ naszej, co jest dążeniem każdego słowa, co jest myślą przewodnią każdego artykułu: oto *obudzenie w ludzie naszym przywiązania do wiary ojczystej i ojczystej przeszłości, pokrzepienia ducha na przyszłość!*

Niech ogół czytający nasze pismo poleci dalej, niech się przyczyni do przysporzenia liczby nowych bojowników w ciężkiej naszej walce o zagrożoną narodowość naszą. Podnosimy ten apel w imię drogiej sercom naszym sprawy narodowej. Przekonani, że Szanowni Czytelnicy w imię dobrej sprawy nie odmówią nam poparcia, zamieszczamy w dzisiejszym numerze kwit abonamentowy na nowy kwartał z usilną prośbą o podanie takowego krewnym, przyjaciołom lub znajomym z ciepłą zachętą do abonamentu, który na cały kwartał wynosi

☞ tylko jedną markę. ☜

Dzisiejszy numer „Pracy“ jest ☞ przedostatnim w bieżącym kwartale, więc

czas największy zapisać

„PRACĘ“

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z Poznania.

Szanownych Czytelników w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

1 złr.

wprost do Administracyi „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 59 centów.

☞ Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Pod maską“, i t. d. otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i 30 fen. w znaczkach na porto.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przysłanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

☞ **Kwit abonamentowy** na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczony jest na początku niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 1 marki posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Wiadomości.

Z powodu trudności technicznych i święta Bożego Ciała zmuszeni byliśmy numer poświęcony jubileuszowi Uniwersytetu Jagiellońskiego odłożyć do następującego tygodnia.

Do skompletowania kwartalników potrzebny nam jest numer 24 z dnia 10 b. m. Szan. Czytelników upraszamy o łaskawe nadesłanie nam tego numeru, za co im się w inny sposób wywdzięczymy.

Zwracamy uwagę na anons Towarzystwa Wydawniczego we Lwowie, dotyczący wydanego przez nie dramatu *„Ocknienie“*, którego autorem jest Dr. K. Rakowski. Cena przystępna powinna zjednać książce tej licznych nabywców. Nabywać też można we wszystkich księgarniach.

Wystawa niemiecka rólnicza została otwarta w Poznaniu, dnia 7 b. m. przez księcia pruskiego Joachima. Przemawiali także ministrowie pp. Miquel i Hammerstein i inni. Wszystkie ich mowy nosiły cechę obecnego systemu pruskiego, operującego „kulturą“. Co znaczy ta operacya wiemy wszyscy dobrze, a świadczy o tem najwymowniej następujący wypadek, który zaszedł w grodzie naszym dnia 6-go b. m. krótko przed przyjazdem ks. Joachima na wystawę:

„Jak wiadomo, stał przy kaponierze, gdzie się skręca na dworzec za bramą berlińską słup z tablicą, na której był napis: Zum zoologischen Garten 3 Minuten, — Do ogrodu zoologicznego 3 minuty. Dnia 6-go b. m. o godz. 4 po południu, krótko przed przyjazdem księcia Joachima Albrechta 4 robotników w obecności policyanta wykopało ten słup, zdjęło tablicę z napisem i usunęło ją zupełnie. Ktoś przechodzący pytał policyanta, czemu się to dzieje, na co ten odpowiedział: „Hier muss alles urdeutsch sein, polnische Aufschriften dürfen nicht in die Augen fallen“ (tu musi być wszystko po praniemiecku, polskie napisy nie mogą bić w oczy.“

Tak wygląda najnowszy czyn żelazny obok jedwabnych słów. Nie chcemy go bliżej charakteryzować, ale w całej nagości okazujemy go osłupiałemu światu.

Wystawa przedstawiała się pod każdym względem bardzo dobrze. Udział publiczności był też bardzo znaczny.

Bardzo obszerny plac był cały zastawiony namiotami, w których znajdowały się konie, bydło, owce, nierogacizna, króliki, kozy itd., dalej niepoliczonem mnóstwem maszyn, narzędzi, przyborów rolniczych, motorów i turbin. Niektóre maszyny były w biegu. Była także wielka wystawa drobiu. Niemałą siłę atrakcyjną miała nie wielka wprawdzie, ale bardzo dobrze urządzona wystawa ryb, między niemi pstrągów.

Była interesująca wystawa mleka, serów, miodu, win owocowych itd.

Wystawę zamknięto dnia 12-go b. m. o godzinie 8-ej wieczorem.

Udział w niej Polaków wystawców był nie wielki; podajemy go poniżej podług katalogu:

W dziale koni: gospodarz Barczak z Łąkocina, Chłapowski z Kopaszewa, ks. Czartoryski z Sielca, Dolata z Zacharzewa, dr. Jackowski z Wrączyna, Konieczny z Westrzy, hr. Łącki z Posadowa, Mańkowski z Brodnicy, Romanowski z Mehlsack (?), Sikora z Roszek, Sypniewski z Czarkowa, Żółtowski z Godurowa, Żychliński z Twardowa i Zacharzewa;

w dziale bydła: Chełkowski z Starego-grodu, Ciesielski z Kawczyna, ks. Czartoryski z Sielca, hrabina Kręska z Grembanina, hrabina Kwilecka z Dobrojewa, hrabia Kwilecki z Oporowa, Mańkowski z Brodnicy, Raszewski z Jasienia, dr. Szułdrzyński z Bolechowa, dr. Trzciński z Gocanówka i Turno ze Słomowa;

w dziale owiec: Czarnecki z Dobrzycy, hrabina Kwilecka z Dobrojewa i hrabia Kwilecki z Oporowa;

w dziale świń: hrabina Kwilecka z Dobrojewa;

w dziale kóz i ryb Polacy nie wzięli udziału;

w dziale płodów i wyrobów w rólnictwie wzięli udział; Łukowski z Langenfelde (?), Otmianowski z Poznania, Sniegocki, Centralna drogerya, i Woźny z Usarzewa, oprócz tego Polacy jako wspólnicy są reprezentowani w wystawie bardzo licznych mleczarni;

w dziale maszyn i narzędzi rólniczych: Biskupski, elektrotechnik, Byliński, H. Ce-

gielski z Poznania, Koczorowski z Wrześni, Maciejewski, fabryka powozów z Gniezna, Moegelin (Skrzydlewski) i Urbanowski z Poznania

Z pomiędzy Polaków biorących udział w wystawie, otrzymali następujący premie lub odznaczenia:

Pan Kazimierz Żychliński z Twardowa pierwszą nagrodę za jednę klacz, dwie drugie nagrody za 2 klacze i uznanie za jednę klacz.

Pan Bernard Sypniewski z Czarkowa trzecią nagrodę za jednę klacz.

Gospodarz pan Barczak z Łąkocina pod Ostrowem, mający gospodarstwo, obejmujące 140 mórg ziemi, pierwszą nagrodę za swoje klacze, za które już dawniej otrzymał nagrodę w Berlinie.

Gospodarz p. Tomasz Dolata z Zacharzewa pod Ostrowem drugą nagrodę za jednę klacz, czwartą nagrodę za inną klacz, za trzecią zaś uznanie.

Gospodarz p. Stanisław Kubik z Westrzy pod Ostrowem, mający gospodarstwo, które obejmuje 80 mórg, otrzymał trzecią nagrodę za jednę klacz.

Pan dr. Tadeusz Jackowski z Wrączyna uznanie za jednę klacz.

Pan Kazimierz Chłapowski z Kopaszewa trzecią nagrodę za ogiera.

Pan dr. Trzciński z Gocanówka pierwszą nagrodę zwycięzką za krowę simentalską.

Pan Józef Chełkowski ze Starogrodu pod Kuklinowem pierwszą nagrodę za jałówkę oldenburską, uznanie za inną jałówkę oldenburską, za jałówką simentalską i stadnika oldenburskiego.

Hrabina Barbara Kwilecka z Dobrojewa uznanie za jałówkę simentalską i za maciorę z prosiętami.

Hr. Mieczysław Kwilecki z Oporowa uznanie za stadnika holenderskiego i za jałówkę holenderską.

Pan Jan Turno ze Słomowa uznanie za krowę holenderską.

Hrabina Marya Kręska z Grembanina pod Kępnem drugą nagrodę za jałówkę oldenburską, trzecią nagrodę za inną jałówkę oldenburską, trzecią nagrodę za krowę oldenburską i uznanie za 2 krowy oldenburskie.

Rozumie się, że nagrodzono także bardzo wielu wystawców niemieckich.

Za owce żadnej nie przyznano nagrody Polakom.

Wystawa robót terminatorów. W ubiegłą niedzielę o godz. 12 w poł. otworzoną została w mieście naszem wystawa robót terminatorów. Już przed godz. 12 sala pałacu Działyńskich, gdzie wystawę urządzono, zapełniła się zupełnie, tak że z trudnością było się można przecisnąć. Krótko po 12 p. Kużaj, prezes Towarzystwa Przemysłowego w dłuższem przemówieniu otworzył wystawę, zaznaczając, że takowa przyszła do skutku za staraniem czterech poznańskich Towarzystw i to: Towarzystwa Przemysłowego, (starego) Towarzystwa Młodych Przemysłowców, Towarzystwa Rzemieślników Polskich i Koła Rękodzielników. Żadnej innej pomocy materyalnej nie było, gdyż na wysłaną prośbę do magistratu o udzielenie subwencyi, odebrał komitet w odpowiedzi sławne „Wir sind nicht in der Lage“. Następnie przywitał mówca reprezentantów duchowieństwa (obecny ks. prebendarz Kłos, patron Towarzystwa Terminatorów), Koła sejmowego (obecny szambelan Cegielski) reprezentantów gazet, majstrów i przyjaciół przemysłu.

Szanowny mówca zaznaczył, że Poznań sam bardzo licho wystawę obesłał i prowincya go pod tym względem przewyższyła, to też tem większe uznanie należy się tym panom majstrom, ktòrzy czuli potrzebę obesłania wystawy, nie żałując dla uczni swoich czasu i materyału do wykończenia okazów.

Niektóre okazy prac są wykonane po mistrzowsku, a nawet tak dobrze, że słyszało się zewsząd powątpiewanie, czy to rzeczywiście mogli wykonać uczniowie; zwłaszcza w malarstwie widać praktycznie wykonywane prace dekoracyjne, tak samo w stolarstwie kilka bardzo pięknych okazów podpadało, niemniej szewstwo i krawiectwo, a także cukiernictwo, rzeźnictwo, fabrykacya pudełek i tutek do papierosów były w znacznej ilości. Wiele okazów nie wykończonych nadeszło w ciągu tygodnia.

Pan Wacław Suchowiak zdał w Berlinie egzamin na inżyniera rządowego.

Proces przeciw p. Leitgebrowi z Ostrowa, krawcowi Kolendzie i Melerowiczowi z Dortmundu o rzekomą zdradę stanu odbędzie się dnia 25 b. m. w Lipsku.

Obraz olejny: „Powrót z podziemia“, ofiarowany przez malarza artystę p. Maryana Wawrzeckiego na rzecz Kolonii wakacyjnych, odesłaliśmy p. hr. Raczyńskiemu w Rogalinie, o czem donosimy interesowanym.
Wydział Towarzystwa „Stella“ w Poznaniu.

Trzemeszno. Dnia 29 maja został pobłogosławiony związek małżeński panny Moniki Łysakowskiej z Bystrzycy pod Trzemesznem z panem Antonim Duszyńskim z Nowego Miasta. Aktu ślubnego dopełnił kuzyn młodej pani, ks. proboszcz Tadeusz Łysakowski z Gdańska w asystencyi ks. prob. Marchwinskiego i ks. prob. Mikołaja Kryma z Oliwy. W serdecznych słowach przemówił do młodej pary wuj młodej pani, ks. prob. Krym. „Szczęść Boże!“ młodej parze.

Od Redakcyi.

Wielebnemu Księdzu K. N. Najuprzejmiej dziękujemy i prosimy bardzo o dalsze współpracownictwo.

Towarzystwu Akademików Polskich „Ognisko“ w Czerniowcach. Za serdeczne podziękowanie „Bóg zapłać!“ Równocześnie prosimy o łaskawe współpracownictwo, które dla nas złamtąd jest bardzo pożądanem.

Szlązaczce. Życzeniu Jej zadość uczynimy w jednym z następnych numerów.

Panu Piotrowi S. w Of... Ksiądz proboszcz, w ktòrego parafii Pan mieszkasz, udzieli Panu w tej sprawie najlepszą informacyą!

Czytelniczce „Pracy“ S. Br. w Poznaniu. Dziękujemy najuprzejmiej — zamieścimy w jednym z następnych numerów.

Panu Fr. B. w Hamburgu. Numera żądane wyczerpane. Po książki odnośnie katalog, udaj się Pan z odwołaniem się na „Pracę“ do księgarni polskiej (Tempłowicza) w Poznaniu, hotel Francuski.

Panu Antoniemu Sz. w Wrocławiu. Dziękujemy najuprzejmiej i prosimy bardzo o łaskawe dalsze współpracownictwo. „Pracę“ wysyłać będziemy regularnie pod opaską.

Ciekawskiej. 1) Książki takie czyli podręczniki w polskim języku, o ile nam wiadomo, nie istnieją; 2) Drogerya Czepczyńskiego w Poznaniu, Stary Rynek, prześle Pani na zamówienie cały przyrząd z farbami do malowania dla malarzy — amatorów z dokładnem objaśnieniem. 3) To zależy od różnych okoliczności, najlepiej odpowiedzieć krótko: „Najuprzejmiej dziękuję za wzniesiony na moje zdrowie toast.“

Humorystyka.

Kilku Polaków podziwiało na wystawie w Poznaniu kształty i utrzymanie buhaja jednej z pierwszych polskich obór. Dziwili się jednak, że zwierzę to nie otrzymało żadnej nagrody. Na co rzecze wieśniak polski, słyszący ich wywnętrzenia:
— Ten byk ma jedną wielką wadę.
— A jaką? — zapytali?
— Ma on polską skórę!
Chłopski rozum trafił w samo sedno.

Za wszelkie reklamy i ogłoszenia odpowiedzialnym jest administrator „Pracy“ **Wincenty Szmytkowski.**

Bank zabezpieczenia na życie „Kosmos“. Ze sprawozdania Banku na rok 1899 wyjmujemy następujące dane: Z liczby 4351 mających być uskutecznionych wniosków o zabezpieczenie na kapitał w razie śmierci na sumę 16,924,606 marek załatwiono 3660 na sumę 14,002,483 mk. W końcu roku remanent wynosił 25,697 zabezpieczeń na 87,900,907 mk, kapitału i 3,343,450,49 marek rocznej premii. Oddział zabezpieczenia ludowego miał jako remanent 1018 zabezpieczeń z 439,001 mrk. kapitału. W kasie pogrzebowej zabezpieczonych było 4526 osób na 594,909 mk. kapitału. Zabezpieczeń na przypadek przeżycia było 2934 z 5,099,772 marek kapitału. Remanent zabezpieczenia renty wynosił 1145 polis z roczną rentą 588,250,49 mrk. Umarło w roku ubiegłym 68 osób w oddziale zabezpieczenia na życie; środki rozporządzalne celem wypłacenia sum po umarłych przekroczyły rezerwę premiową w sumie 268,634,26 marek, a kapitał zabezpieczenia zwiększył się o sumę 3,351,751,03 mrk. tak że rezerwa wynosi 15,980,287,43 mrk. Rezerwa kapitału osięgła wysokość 406,329,63 mrk., kapitał gwarancyjny, który się powiększył o 2,214,698,91 mrk., wynosi obecnie 19,472,331,35 marek. Czysty dochód wykazuje sumę 277,219,05 marek, z czego otrzymali akcyonaryusze 55²/₇% od akcyi a zabezpieczeni z regresem do dywidendy 10% premii rocznej.

Folwark Huta, per Skorzencin

pow. *Witkowski* 5 klm. do stacyi kolej. Witkowa, 538 mórg dobrej żytniej ziemi (w 400 mórg ornej ziemi, 80 łąk, 24 morgi lasku, reszta dobre pastwiska z pięknem ogrodem, mocnemi murowanemi budynkami, komplątnym żywym i martwym inwentarzem, jest z powodu starości posiedziciela do sprzedania.

Bliższych wiadomości udzieli właściciel

J. Szymański. 347

Sanatoryum Swinemünde Bałtyk (Ostsee).

Przez cały rok otwarte. Ceny umiarkowane.

Dyetetyczno-fizyczny zakład leczniczy. Wszelkie rodzaje kąpieli podług przepisu lekarza. Masaż, elektroterapia, medyczno-mechaniczny zakład, kuracye dyetetyczne, wodolecznicze i kąpielowe. Miejsce ochronne pod lasem. Wspaniałe parki aż do morza. Z komfortem urządzone pokoje mieszkalne. Lekarze dyrygenci: **Dr. Kortüm, Dr. Heim.** Prospekta wysyła Dyrekcya Towarzystwa akcyjnego leczniczego w Swinemünde. 162

Z powodu śmierci właściciela nadarza się z rąk niemieckich nadzwyczaj korzystne kupno pięknej



szlacheckiej, w sercu Kujaw położonej, **tuż przy miasteczku, z dworcem i z szosą w miejscu.** Obszaru 1000 mórg incl. 150 mórg znakomitych łąk, **ziemia od skiby do skiby buraczana I kl.,** śliczne urodzaje zapowiadają obfity sprzęt, doskonałe budynki, piękny inwentarz, **dwór wielkopański o 10 ciu pokojach w obszernym parku,** hipoteka uregulowana. Cena już ostateczna 250,000 mk. przy zaliczce 60 tysięcy marek. **Grundsteuerreinertrag przeszło 4 tysiące marek.** Jestto czyste okazyjne kupno i pospiech pożądany. Majątek bezpośrednio graniczący sprzedano w zeszłym roku po 450 marek za morgę,a ziemia ta sama.

Bliższych informacyi udzielą

Drwęski & Langner,
Centralna Agentura Dóbr w Poznaniu.

Dla Rodaka poszukujemy kupna

majątku

około 1000 mórg z przyzwoitym dworkiem, ładnem zabudowaniem i z dobrą ziemią i to przy zaliczce do 100,000 marek w gotówce. Pospiech pożądany.

Drwęski & Langner
Centralna Agentura Dóbr
w Poznaniu, Rycerska ul. 38.

✻✻✻✻✻✻✻✻✻✻✻

65 mórg łąki

zmeliorowanej, na której trawę w parcelach dwumorgowycy każdego czasu wydzierżawię. 346

Jan Włochal w Krzywiniu.

✻✻✻✻✻✻✻✻✻✻✻



2 pary nadkompletnych koni

(1 para ruskich klaczy i 1 para jukierów) są na sprzedaż

w Dom. Zajączkowo

poczta Nouthal, stacya Lubosin albo Pniewy.

W większem mieście powiatowem, z król. gimnazyum, wyższą szkołą żeńską i t. d. jest **na sprzedaż lub zamianę śliczna**

kamienica

położona w najlepszej części miasta, z obszernym placem budowlanym etc. W kamienicy tej mieszka burmistrz, doktór i trzeci podobny lokator, a dzierżawa przynosi ca. 3000 marek rocznie, nie wliczając placu budowlanego. — Taksa ogniowa wynosi 46,000 mr. Cena pożądana 50,000 mr. zaliczki 15,000 marek, ewent. i mniej

Powyższa kamienica jest też **do zamienienia na**

folwark

przynajmniej 300 mórg, w którym to razie właściciel kamienicy, który jest zawołanym rolnikiem, **gotów dopłacić jeszcze gotówką.** Łask. oferty upr. pod litr. P. P. 1 do Ekspedycyi „Pracy“ w Poznaniu.

Nauczycielka

wyższa

egzaminowana, pragnęłaby w zamian za udzielanie lekcyi spędzić wielkie wakacye na wsi. (352)

Zgłoszenia proszę przesłać do Ekspedycyi „Pracy“ pod No. 1000 „Szczęście“.

Zielona Apteka
Edmunda Dzierzgowskiego
Poznań, ul. Wrocławska 31.

urządzona podług najnowszych wymagań, poleca **wszelkie środki zagraniczne i krajowe** oraz **artykuły chirurgiczne i gumowe** po cenach konkurencyjnych. Wysyłki franko odwrotnie; w miejscu w dom. 874

Fabryka wody selterskiej i limonad musujących.

$1^1/_2$ minuty od placu Piotra.

M. Kaniasty

Poznań, ul. Wrocławska 18, I p.

Przyjmuje od godz. 9—6.

Wprawia zęby sztuczne na płytkach i bez płytek.

Zęby na sztyfcikach, sztuczne korony itd. 311

Specyalność: Plomby złote, amalgamatowe i cementowe (białe) — najlepszy środek utrzymania zębów własnych.

Ceny możliwie nizkie.

Praktykuje od roku 1890.

Ból zębów spróchniałych

usuwa natychmiast na pewno **„Kropp'a wata do zębów** (20% waty Carvacrol) za flaszkę 50 fen. tylko prawdziwa w Centralnej drogeryi. B. Śniegockiego i u Pawła Wolffa, plac Wilhelmowski 3.

Dla Narzeczonych!!

Bardzo wiele pieniędzy

zaoszczędza każdy, kto — kupując ślubne pierścionki, zegarek, lub biżuterya żąda mego katalogu. 297

J. Strzelecki, Mogilno,
(filia w Inowrocławiu).

Tapety

w najnowszych pięknych deseniach poleca od najpojedyńcz. do najwykwintniejszych tapet salonowych 190

Elbląski interes wysyłkowy tapet
C. Quintern, Elbląg (Elbing).

Pożyczki na hipoteki

na grunta wiejskie i miejskie natychmiast i później. Warunki jak najkorzystniejsze. Prospekt do dyspozycyi.

Allgemeine 90
Verkehrs-Anstalt,
Berlin S. W. 12,
Zimmerstrasse Nr. 87.

Smyrneńskie

wyroby ręczne

i 1025

dywany smyrneńskie

cenniki darmo i franko.

Fabryka wełny
Wilh. Lau, Arnswalde.

W zamian daję przędzę smyrneńską za wełnę owczą.



Edmund Paulus
Markneukirchen Nr. 206.

Rzetelne źródło zakupna wszystkich instrumentów dętych i smyczkowych harmonik ustnych i ręcznych tylko w dobrym wykonaniu i po cenach najtańszych pod gwarancyą.

Cenniki franko. 338

Kołdry
(Steppdecken)

w bardzo wielkim wyborze rozmaitego gatunku, koloru i w pięknych deseniach nabyć można tylko *w pierwszej wiedeńskiej fabryce kołder*

R. Bild'a

a nie w żadnym innym składzie. Przerabiam kołdry najdokładniej, mając w tym celu na składzie wielki wybór materyi. 43

R. Bild'a

pierwsza wiedeńska fabryka kołder, **Wrocław, Breslau, Schmiedebrücke Nr. 55.**

Wchód: Kupferschmiedestr. I drzwi, I piętro.

Gimnazyastów

przyjmuje na stancyą

H Siemiątkowska

Długa ul. nr. 11. parrer.



Kiernozki

do rozpłodu wielkiej białej angielskiej rasy, z kształtami beznagannemi, poleca **Dom. Nitsche** (Iłowiec), poczta, stacya kolei Czempiń, Petze.

Kucharz samotny

pewny w swym zawodzie, zarazem doskonały myśliwy, szuka posady od 1 lipca rb. per adr. **kucharz Skarpa p. Zempelburg W./Pr.**

Nauczycielka nieegz. z rejenc. pozwol. i prakt. poszukuje miejsca do dzieci od 6—10 lat. Oferty p. n. **3640 postlag. Rawicz.**

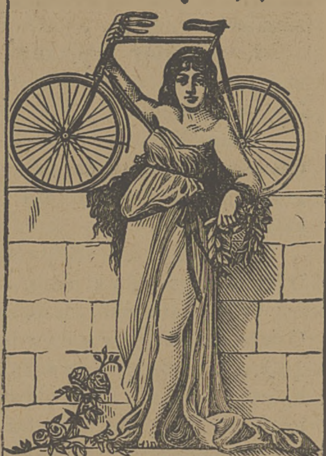
Na Sierpnia znajdą miejsca

Nauczycielki 355

w Księztwie, Królestwie i Galicyi na pensye 600—1200 m. Zależy to od biegłości w francuzkiem, angielskiem i muzyce.

A. Koczorowska,
Nauczycielka, Strzelecka 3 b.

Z powodu braku znajomości odpowiednich Pań, pragnę zawiązać korespondencyą z młodszą osobą posiadającą około 3000 mk. celem event. ożenku. Łask. ofert. pod lit. W. W. 24 Posen I. Postlag. NB. Na anonimy szkoda znaczków pocztowych. Mienniejszy stan włościański nie wyklucz.



Greif 31 a = ca. 11 Kg. Schneidigster Halbrenner am Markt. 107

Greif 36, Hocheleg. Damen-Luxusrad.

Greif 23, besonders stabiles Tourenrad.

Bernh: Stoewer, A.G.

Stettin, ca. 1600 Arbeiter.

Stoewer's Nähmaschinen
wetteifern in Vorzüglichkeit der Construction mit
Stoewer's Greif-Fahrrädern.
Vertreten auf der Pariser Weltausstellung.
Vertreter: Alfred Kirschner.

Poszukuje się zaraz

OSOBY

uczącej pływania dla 10-letniej dziewczynki na wieś z wolnem utrzymaniem i odpowiednim wynagrodzeniem.

Zgłoszenia po literą **Z. P. 13. Poznań O I** poste restante. (353)

Ucznia

z dobrem wychowaniem potrzebuje do handlu żelaza zaraz (351)

W. Degórski,
Wronki.

Niżej podpisany potrzebuje jaknajprędzej 345

służącą i dziewczynę

do oprzątania świń na większą wieś rycerską. Zdolne pracowite dziewczyny niech się zgłoszą do dzierżawcy dóbr rycerskich p. **H. Gruschwitz** w Heilgersdorf w Bawaryi (Bayern Unterfranken).

Poszukuję 337

ucznia

do handlu żelaza.

L. Sura
Nakło nad Notecią.

Parowa fabryka powozów

Z. Maciejewski
w Gnieźnie

poszukuje zdatnego 330

lakiernika

na stałe zatrudnienie, oraz

uczni

mających chęć wyuczyć się zawodu lakierniczego lub siodlarskiego.

Zarys dziejów Polski porozbiorowej

z dodaniem najważniejszych wiadomości z literatury i geografii polskiej, wydanie drugie znacznie pomnożone, **52 obrazami sławnych Polaków, wodzów i bitew oraz 4 mapkami ozdobione,** poleca 197

Księgarnia Polska (W. Tempłowicz)

Poznań, Hotel francuzki.

Cena mr. 1,80. Za nadesłaniem należytości posyłka odwrotną pocztą.

Introligatornia i zakład do linjowania.

Jedyna polska fabryka zeszytów, książek kontowych i notesów.

K. Śmiecikowski Poznań Wodna ulica № 2.

Próby oraz cenę odwrotnie i franko.

Poznań 1895 srebrny medal.	Gwarancya długoletnia.	Gniezno 1896 złoty medal

Po przebudowaniu i znacznem powiększeniu magazynów naszych polecamy meble wykonczone li tylko z dobrego, suchego materyału i to pod gwarancyą od skromnych do najwykwintniejszych.

Meble polecają Dankowski i Sp.

Poznań, Wilhelmowska 20, obok p. Starka.

Własnego wyrobu meble wyściełane; — **własny** wielki i zaszczytnie znany warsztat **tapicersko-dekoracyjny.** Mamy gotowe **kompletne** pokoje skromne i eleganckie; orzechowe, dębowe, złocone (bardzo modne sypialnie jaworowe i t. d.

Wszystko we wielkim wyborze gotowe na składzie. Materye meblowe — prawdziwie francuzkie — w stylach do mebli odpowiednich.

Dankowski i Sp.

Magazyn mebli,

Na spłatę ratami zgadzamy się.	Poznań, ulica Wilhelmowska 20.	Długoletnia rzetelna gwarancya.

Do prania w wodzie źródlanej (twardej) jest bezwarunkowo najodpowiedniejsze

mydło
terpentynowo-salmiakowe

z poznańskiej parowej fabryki mydła

Ludwika Ascha w Starołęce,

które jest zarazem w użyciu najoszczędniejszem. Każdy kawałek nosi zupełne znamię fabryki, na co przy kupnie uważać trzeba. 994

Nowości

na sezon wiosenno-latowy nadeszły w pelerynach, kabatkach i płaszczach dla pań, panienek i dzieci.

Kapelusze

ubrane i nieubrane, wszystko w najnowszych fasonach i wielkim wyborze po cenach najtańszych poleca

Skład płaszczy i kapeluszy damskich.

A. Depczyńska,

Jezuicka ul. Nr. 12 (narożn. Rynku).

Zeszłoroczne kapelusze przerabiam podług najnow. fasonów.

Tow. Zabezpieczenia na życie

„Kosmos“

założone 1862 r.

poleca się do zawierania

zabezpieczeń na życie, wyprawę, od wojskowości, rent na starość i zabezpieczeń ludowych

za nizką opłatą premiową.

- **Dogodne warunki zabezpieczenia.**
- **Udział w zyskach po 2 latach.**
- **Tanie zabezpieczenie na przypadek wojny.**
- **Pożyczki w celu złożenia kaucyi dla urzęd.**

Stan rachunków dnia 31 grudnia 1899 wynosił:

Kapitał zabezpieczony . . .	M. 94,034,589,00
Zapłacone premie	M. 5,124,504,65
Kapitał gwarancyjny	M. 19,472,331,35
Wypłac. kapitał zabezpieczenia	M. 18,382,473,12

Wszelkie bliższe objaśnienia, prospekty i najnowszy stan rachunku z roku 1899 otrzymać można u głównego agenta na prowincyą Poznańską, pana 348

Hermanna Kaskel

w Poznaniu, ulica Młyńska nr. 9.

Patenty na wynalazki

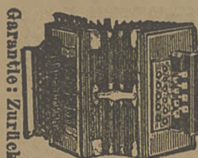
wyrabia i sprzedaje we wszystkich krajach

Międzynarodowe biuro patentowe techniczne

[illegible] Brandt & G. W. Nawrocki w Berlinie [illegible]

Fryderykowska 78.

(Właśc. firmy: A. Mühle i W. Ziołecki.)



Meinel & Herold,

Harmonikafabrik, Klingenthal (Sachs.) Nr. 181.

versd. geg. Nachnahme ihre vorzügl. **Concert-Zug-Harmonikas** ca. 34—38 cm hoch, mit prächtigem Orgelton, offene Klaviatur, **verbess. Stahlfederung,** für deren Unverwüstlichkeit wir Garantie leist., 3thl. (11falt.) Doppelbalg. Balgfalt. m. best. Metallschutzecken (Eckenschoner), Doppelbässen 2c., m.

10 Tast., 2 Reg., 50 Stim. pr. St. M. 5.—	21 Tast., 2 echt. Reg., 108 Stimm. M. 11.—
10 Tast., 3 echt. Reg., 70 Stimm. M. 7.50	21 „ 4 „ „ 108 „ „ 21.—
10 „ 4 „ „ 90 „ „ 9.50	21 „ 6 „ „ 158 „ „ 27.—
10 „ 6 „ „ 130 „ „ 15.—	21 „ 8 „ „ 200 „ „ 39.—
10 „ 8 „ „ 172 „ „ 30.—	Andere Harm (**85** versch. Nr.) v. 3½ M. an.

Schule und Kiste z. Harm. umsonst. Unsere Harm. sind nicht mit billiger offer. zu verwechseln. Anderweitig **billiger** angebotene sind bedeutend **minderwerthiger.**

Ueberzeugen Sie sich,

daß unsere Harmonikas die denkbar besten und dabei die anerkannt billigsten sind. **Bandonions, Mundharm., Ocarinas, Violinen, Zithern, Accordzith., Musikwerke** 2c.

Vor anderweit. Einkauf bitten uns. illustr. Catalog umsonst zu verlangen.

Garantie: Zurücknahme u. Geld retour.

Ueber 8000 Dankschreiben.